

FUNDACJA

Archiwum i Muzeum Pomorskie

Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek

87-100 Toruń, ul. W. Garbary 2

tel.: 65-22-186, e-mail: archAK@um.torun.pl

REGON 870502736

MEMORIAL

General Marii Wittek

zakonienie tacek A. Boldt 2004

Opis tacek ?

Przygotowanie do digitalizacji B. Rojdel 20



Fotografowanie

†† 1994

CZERMINSKA - ŻELAZNIEW

Halina

zam. Żelazniemierz

79. "Morsula"

SPIS ZAWARTOŚCI TECZKI —

492/WSK

Czerwińska - Zelaźmienia

Stalina 492/WSK

I. Materiały dokumentacyjne

- ✓ I/1 – relacja właściwa k. 4, s. 1-4
- I/2 – dokumenty (sensu stricto) dot. osoby relatora
- I/3 – inne materiały dokumentacyjne dot. osoby relatora

II. Materiały uzupełniające relację

III. Inne materiały (zebrane przez „relatora”):

- III/1 – dot. rodziny relatora
- III/2 – dot. ogólnie okresu sprzed 1939 r.
- III/3 – dot. ogólnie okresu okupacji (1939 – 1945)
- III/4 – dot. ogólnie okresu po 1945 r.
- III/5 – Inne...

✓ IV. Korespondencja

k. 7, s. 8

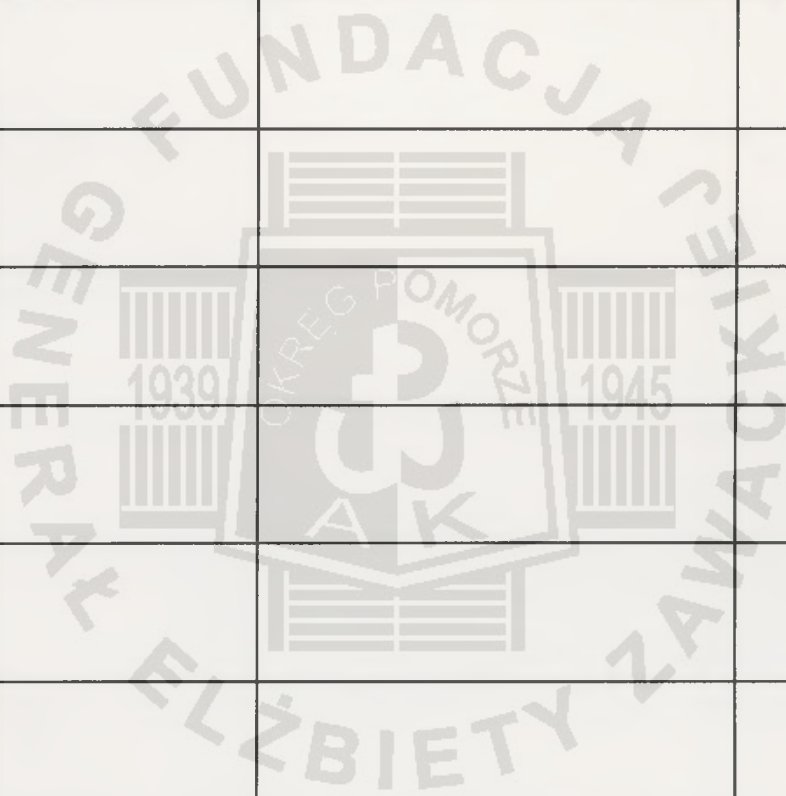
karty z Zelaźmienia do E Zawackiej

karty E Zawackiej do Zelaźmienia

V. Wypisy ze źródeł [tzw.: „nazwiskowe karty informacyjne”] ✓ 1

VI. Fotografie ✓ 2

Lp.	Nazwisko i imię korzystającego	Temat pracy (ewent. cel wykorzystania)	Data korzystania
10			
11			
12			
13			
14			
15			
16			
17			
18			
19			
20			



I/1 Relaya

- Relaya sporządzona przez Andrzeja Żelazniemina, ^{Wrocław 1996,} mps. k. 4, 1-1



RELACJA O SŁUŻBIE WOJENNEJ HALINY CZERMIŃSKIEJ-ŻELAŻNIEWICZOWEJ ps. URSZULA, kpr. czasu wojny

Halina Jadwiga Czermińska-Żelaźniewicz (Żelaźniewicz od małżeństwa 25.8.1945 r.), ur 12.10.1914 r. w Saratowie; ojciec Lucjan Czermiński artysta-malarz i handlowiec, matka Kazimiera z d. Skrzynecka. W Saratowie ojciec był przedstawicielem Zakładów Włókienniczych Girarda. W 1918 r. rodzina Czermińskich przenosi się do Warszawy.

W Warszawie Halina kończy szkołę podstawową i średnią - gimnazjum Łabusiewiczowej. Po maturze w roku 1933 rozpoczyna studia z zakresu filologii polskiej w Uniwersytecie Warszawskim u profesora J. Krzyżanowskiego. Ukończoną w roku 1937 polonistykę uzupełnia rocznym studium bibliotekarskim przy Bibliotece Publicznej m. stoł. Warszawy, po czym od 1.9.1938 rozpoczyna swą pierwszą pracę w Bibliotece Pedagogicznej w Toruniu.

Wybuch wojny sprawia, że Halina powraca do Warszawy, gdzie natychmiast włącza się w powstający ruch oporu. Jako "Urszula", wraz z młodszą siostrą Marią (ps. Lucynka - łączniczka gen. Grot-Roweckiego, a potem gen. Bór-Komorowskiego), pracuje dla Komendy Głównej AK. Od 1940 roku jest w BIP-ie (redakcja pisma "Agencja Prasowa"), a od jesieni 1942 roku aż do powstania, w Oddziale IV Wyszukiwawczym w Sztapie Kierownictwa Dywersji (Kedyw) KG AK w "Szkołe" o kryptonimie "Zagajnik". W "Zagajniku" pełniła funkcję łączniczki (ps. Urszula), prowadzonej od strony organizacyjno-administracyjnej przez jej przyszłego szwagra Stanisława Tyskiego (ps. Stefan, Tomek) pod ogólnym dowództwem najpierw ppłk Henryka Krajewskiego (ps. Eryk, Bąk), a potem mjr Wiktora Marcinkowskiego (ps. Grań). Stale w pracę "Zagajnika" prowadzoną w różnych lokalach w Warszawie było zaangażowane kilkanaście, a wraz z wykładowcami kilkadziesiąt osób - bez żadnej "wpadki" przeszkolono do powstania ponad 1 200 żołnierzy AK.

W powstaniu, jako łączniczka dowódcy grupy "Północ" płk. Wachnowskiego (Karol Ziemiński), Halina walczyła na Woli, Starym Mieście (zgrupowanie "Radosław"), a następnie, po przedostaniu się kanałami, do końca na Mokotowie. Za udział w powstaniu otrzymała Krzyż Walecznych (d-to AK, płk Radosław).

Okres popowstaniowy spędziła Halina w Częstochowie, gdzie poznała swego przyszłego męża, kpt Waleriana Ryszarda Żelaźniewicza - kilkakrotnego uciekiniera z niemieckich oflagów, uczestnika powstania warszawskiego, leczonego w Częstochowie ciężką raną głowy. Ślub obojga odbył się 25 sierpnia 1945, po czym młodzi kierują się na Dolny Śląsk i po krótkim pobycie w Prudniku trafiają do Wrocławia, instalując się tu na dobre.

Halina pracuje najpierw w Bibliotece Pedagogicznej Kuratorium Okręgu Szkolnego i w Bibliotece "Czytelnika", a potem (1.9.1950) przenosi się do Polskiego Radia, gdzie zostaje redaktorem stylistycznym. Jest tam aż do aresztowania przez

UBP w sierpniu 1951, pod zarzutem niepoinformowania tzw. władz bezpieczeństwa o wizycie, jaką złożył pp. Żelaźniewiczom, przyjaciel Haliny jeszcze z lat dziecińczych, rtm. Andrzej Czaykowski "Garda", cichociemny, adiutant gen. Andersa.

Andrzej Czaykowski został oskarżony o szpiegostwo na rzecz emigracyjnego rządu w Londynie, a Halina i Walerian Żelaźniewiczowie stali się jednymi z ponad 200 osób obwionionych o pomoc Czaykowskiemu. Głównym dowodem tej pomocy "szpiegowi" była znaleziona w momencie aresztowania ("kocioł" w mieszkaniu matki Czaykowskiego, w Milanówku) w torebce Haliny lista członkiń oddziału Ligi Kobiet przy rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu. W sprawie (syg. Sr. 47/52) sądownej w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie, w styczniu 1952 r., przez osławionego haniebnymi orzeczeniami sędziego M. Widaja Halina została skazana na 6 lat więzienia, a jej mąż Walerian - na lat 12. Po wyroku z Mokotowa przeniesiono Halinę do Fordonu, skąd wypuszczono ją na wolność dopiero w sierpniu 1955.

Jedynym miejscem, gdzie zgodzono się Halinę zatrudnić był szpital dla nerwowo i psychicznie chorych dzieci w Krośnicach pod Miliczem. Pracowała tam do wyjścia na wolność męża Waleriana w listopadzie 1956 r. W roku 1957 po odzyskaniu skonfiskowanego domu powracają pp. Żelaźniewiczowie do Wrocławia. Halina otrzymuje pracę w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu - pracę zgodną z wykształceniem i zamiłowaniem. Jest aktywną członkinią Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich

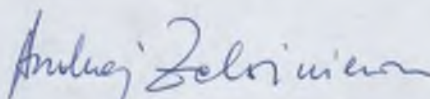
W roku 1975 kustosz Halina Żelaźniewicz przechodzi na emeryturę, ale nadal jest czynna zawodowo. W latach 1980-1982, w miarę swych możliwości, aktywnie włącza się w ruch "Solidarności" - stara się pomóc swą radą, doświadczeniem i bezpośrednim zaangażowaniem - także w czasie stanu wojennego.

Od roku 1988 Halina podupada znacznie na zdrowiu. Choroby przywiązują ją najpierw do domu, a potem całowicie przykuwają do łóżka. Umiera 4 października 1994 roku.

LITERATURA

Tyski St. 1994. Praca i przyjaźń. W: Wyczańska K. (red.) Żołnierze Komendy Głównej Armii Krajowej wspominają..., Warszawa, Oficyna Wyd. Pomost. str. 13-27.

Andrzej Żelaźniewicz


(syn)

Wrocław, 28.9.1996

RELACJA O SŁUŻBIE WOJENNEJ HALINY CZERMIŃSKIEJ-ŻELAŹNIEWICZOWEJ
ps. URSZULA, kpr. czasu wojny

Halina Jadwiga Czermińska-Żelaźniewicz (Żelaźniewicz od małżeństwa 25.8.1945 r.), ur 12.10.1914 r. w Saratowie; ojciec Lucjan Czermiński artysta-malarz i handlowiec, matka Kazimiera z d. Skrzynecka. W Saratowie ojciec był przedstawicielem Zakładów Włókienniczych Girarda. W 1918 r. rodzina Czermińskich przenosi się do Warszawy.

W Warszawie Halina kończy szkołę podstawową i średnią - gimnazjum Łabusiewiczowej. Po maturze w roku 1933 rozpoczyna studia z zakresu filologii polskiej w Uniwersytecie Warszawskim u profesora J. Krzyżanowskiego. Ukończoną w roku 1937 polonistykę uzupełnia rocznym studium bibliotekarskim przy Bibliotece Publicznej m. stoł. Warszawy, po czym od 1.9.1938 rozpoczyna swą pierwszą pracę w Bibliotece Pedagogicznej w Toruniu.

Wybuch wojny sprawia, że Halina powraca do Warszawy, gdzie natychmiast włącza się w powstający ruch oporu. Jako "Urszula", wraz z młodszą siostrą Marią (ps. Lucynka - łączniczka gen. Grot-Roweckiego, a potem gen. Bór-Komorowskiego), pracuje dla Komendy Głównej AK. Od 1940 roku jest w BIP-ie (redakcja pisma "Agencja Prasowa"), a od jesieni 1942 roku aż do powstania, w Oddziale IV Wyszakoleniowym w Sztabie Kierownictwa Dywersji (Kedyw) KG AK w "Szkołe" o kryptonimie "Zagajnik". W "Zagajniku" pełniła funkcję łączniczki (ps. Urszula), prowadzonej od strony organizacyjno-administracyjnej przez jej przyszłego szwagra Stanisława Tyskiego (ps. Stefan, Tomek) pod ogólnym dowództwem najpierw ppłk Henryka Krajewskiego (ps. Eryk, Bąk), a potem mjr Wiktora Marcinkowskiego (ps. Grań). Stale w pracę "Zagajnika" prowadzoną w różnych lokalach w Warszawie było zaangażowane kilkanaście, a wraz z wykładowcami kilkadziesiąt, osób - bez żadnej "wpadki" przeszkolono do powstania ponad 1 200 żołnierzy AK.

W powstaniu, jako łączniczka dowódcy grupy "Północ" płk. Wachnowskiego (Karol Ziemiński), Halina walczyła na Woli, Starym Mieście (zgrupowanie "Radosław"), a następnie, po przedostaniu się kanałami, do końca na Mokotowie. Za udział w powstaniu otrzymała Krzyż Walecznych (d-to AK, płk Radosław).

Okres popowstaniowy spędziła Halina w Częstochowie, gdzie poznała swego przyszłego męża, kpt Waleriana Ryszarda Żelaźniewicza - kilkakrotnego uciekiniera z niemieckich oflagów, uczestnika powstania warszawskiego, leczonego w Częstochowie ciężką ranę głowy. Ślub obojga odbył się 25 sierpnia 1945, po czym młodzi kierują się na Dolny Śląsk i po krótkim pobycie w Prudniku trafiają do Wrocławia, instalując się tu na dobre.

Halina pracje najpierw w Bibliotece Pedagogicznej Kuratorium Okręgu Szkolnego i w Bibliotece "Czytelnika", a potem (1.9.1950) przenosi się do Polskiego Radia, gdzie zostaje redaktorem stylistycznym. Jest tam aż do aresztowania przez UBP w sierpniu 1951, pod zarzutem niepoinformowania tzw. władz bezpieczeństwa o wizycie, jaką złożył pp. Żelaźniewiczom, przyjaciel Haliny jeszcze z lat dziecińczych, rtm. Andrzej Czaykowski "Garda", cichociemny, adiutant gen. Andersa.

§ 25

Andrzej Czaykowski został oskarżony o szpiegostwo na rzecz emigracyjnego rządu w Londynie, a Halina i Walerian Żelaźniewiczowie stali się jednymi z ponad 200 osób obwionionych o pomoc Czaykowskiemu. Głównym dowodem tej pomocy "szpiegowi" była znaleziona w momencie aresztowania ("kocioł" w mieszkaniu matki Czaykowskiego, w Milanówku) w torebce Haliny lista członkiń oddziału Ligi Kobiet przy rozgłośni Polskiego Radia we Wrocławiu. W sprawie (syg. Sr. 47/52) sędzonej w Wojskowym Sądzie Rejonowym w Warszawie, w styczniu 1952 r., przez osławionego haniebnymi orzeczeniami s. M. Widaja Halina została skazana na 6 lat więzienia, a jej mąż Walerian - na lat 12. Po wyroku z Mokotowa przeniesiono Halinę do Fordonu, skąd wypuszczono ją na wolność dopiero w sierpniu 1955.

Jedynym miejscem, gdzie zgodzono się Halinę zatrudnić był szpital dla nerwowo i psychicznie chorych dzieci w Krośnicach pod Miliczem. Pracowała tam do wyjścia na wolność męża Waleriana w listopadzie 1956 r. W roku 1957 po odzyskaniu skonfiskowanego domu powracają pp. Żelaźniewiczowie do Wrocławia. Halina otrzymuje pracę w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu - pracę zgodną z wykształceniem i zamiłowaniem. Jest aktywną członkinią Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich

W roku 1975 kustosz Halina Żelaźniewicz przechodzi na emeryturę, ale nadal jest czynna zawodowo. W latach 1980-1982, w miarę swych możliwości, aktywnie włącza się w ruch "Solidarności" - stara się pomóc swą radą, doświadczeniem i bezpośrednim zaangażowaniem - także w czasie stanu wojennego.

Od roku 1988 Halina podupada znacznie na zdrowiu. Choroby przywiązują ją najpierw do domu, a potem całkowicie przykuwają do łóżka. Umiera 4 października 1994 roku.

LITERATURA

Czermińska-Żelaźniewiczowa H., 1997. Ludzie z "Zagajnika" 1942-1944. *Zeszyty historyczne*, Instytut Literacki, Paryż, str. 158-193.

Tyski St. 1994. Praca i przyjaźń. W: Wyczańska K. (red.) *Żołnierze Komendy Głównej Armii Krajowej wspominają...*, Warszawa, Oficyna Wyd. Pomost. str. 13-27.

Andrzej Żelaźniewicz

Andrzej Żelaźniewicz
(syn)

Wrocław, 10.9.1997

III. Materiały uzupełniające relację.

- Wspomnienia „Ludzie z „Zagajnika” 1942-1944
(kursy szkolenia dywersyjnego), mps k. 30, s. 1-30. + dyskietka



Materiały
S.7

1
dyplomatka
w terenie osobisty
Do tomów wspomnień?

Halina Czerwińska-Żelaźniewiczowa

"Urszula"

Wspomnienia te pisałam z myślą o synach - Andrzeju i Ludwiku i ich rodzinach. Mój wnuk - Miś Żelaźniewicz, gdy dorośnie, gdziekolwiek będzie, niechaj te okruchy wspomnień o czasach odległych, a przecież wciąż żywych, przyjmie jako dziedzictwo i legat.

Bismarck
S.7

Ludzie z "Zagajnika" 1942-1944

(Kursy szkolenia dywersyjnego)
Tę kartę badam
Najczulszym węchem mojej dłoni -
Z jakich jest desek strugana
I twarzy...

Stanisław Grochowiak "Leśni"

Pusty i cichy dom, deszcz dudni za oknami i zmrok nie pozwalają swoim nastrojem sforsować tamy, którą na drodze wspomnień postawił czas - lekarstwo i unicestwienie zarazem. Dziwnie ciężko cofać się w tamte lata, choć żyją one ciągle w każdej tkance mej pamięci, bardziej jednak jako błyski przeżyć, niż chronologicznie uporządkowana historia.

Do pracy w "Zagajniku" zaangażował mnie jesienią 1942 roku "Stefan", po jakimś czasie zamieniony w "Tomka" - naprawdę Stanisław Tyski, geolog, mój przyszły szwagier, a zawsze przyjaciel. Poprzednio prowadziłam sekretariat w redakcji podziemnego czasopisma "Ajencja Prasowa", wydawanego przez BIP KG AK.

SPECYFIKA PRACY W "ZAGAJNIKU"

Do podstawowych zadań "Zagajnika" należało prowadzenie kursów szkolenia dywersyjnego dla Komendy Głównej AK i podległych jej organizacji terenowych. Stefan w porozumieniu z naszym wojskowym zwierzchnikiem "Erykiem" (ppłk Henryk Krajewski cc), a po jego odejściu do innych zadań - z "Granią" (mjr Wiktor Marcinkowski) organizował łączność tej komórki, ustalał pracę lokali, montował grupy słuchaczy, układał harmonogramy zajęć i zestawy eksponatów ćwiczeniowych, prowadził powielanie instrukcji i podręczników. Była to praca wielostronna, skomplikowana i niebezpieczna. Do każdej z łączniczek należała opieka nad przydzieloną jej grupą słuchaczy, zwykle trzy lub czteroosobową. Stefan bardzo sumiennie i bardzo rygorystycznie zawiadywał zespołem swoich "jędz". Na ten nieco zgryźliwy "chrzest" zapracowałyśmy sobie same - trzymane bowiem żelazną ręką, próbowaliśmy mimo to zachować resztki własnej indywidualności - stąd to ziarnko goryczy w naszych stosunkach z szefem. Było regułą, że Stefan przynajmniej z jednodniowym wyprzedzeniem informował dokładnie każdą z nas o tym, gdzie się odbędzie kurs, w jakiej kolejności zaprogramowane zostaną wykłady, jak liczną przewiduje się grupę. Ze względów bezpieczeństwa miałyśmy przydzielone zespoły lokali, z którymi trzeba było utrzymywać organizacyjny kontakt, ustalać hasła, orientować się na bieżąco w warunkach i ewentualnym zagrożeniu. Przydziały uwzględniały miejsce zamieszkania łączniczek. Ponieważ mieszkałam na Żoliborzu, należała do mnie stała łączność z większością lokali w tej właśnie dzielnicy. Co parę dni, o wyznaczonej godzinie, spotykały się łączniczki ze "Stefanem" w kontaktowym punkcie.

Pamiętam, że kiedyś na Gwiazdkę ofiarowałyśmy "Stefanowi" dla dowcipu małą dziecianną broszkę, która wyobrażała gałązkę i siedem siedzących na niej ptaszków - nieśmiałych i nastroszonych. Dołączona do prezentu karteczka informowała szefa, że oto "jędze" czekają na audiencję. Właśnie tak to się odbywało - siedziałyśmy przy stole, bo w pokoju nie było wiele miejsca i kolejno podchodziłyśmy pod okno, gdzie urzędował "Stefan", a ten każdej z nas dawał dyspozycje na dni najbliższe i wysłuchiwał jednocześnie raportów o przebiegu zajęć.

W redakcji "Ajencji", gdzie pracowałam poprzednio, miałam bardzo dużą samodzielność i swobodę. Natomiast tu, w "Zagajniku", panował surowy rygor konspiracyjnej pracy i regulaminowy, utrzymywany przez "Stefana" porządek.

Początkowo trudno mi było przystosować się do tego systemu wojskowej zależności, ale wkrótce zrozumiałam, że to był bardzo dobry system - właściwy na tamte trudne warunki. "Stefan" był szefem dla mnóstwa osób: wykładowców, łączniczek, słuchaczy. Kursanci, przysyłani przeważnie z terenu, o różnym stopniu konspiracyjnego przeszkolenia zmieniali się co dwa tygodnie, tworząc swoisty kalejdoskop, przesuujących się przez "Zagajnik" postaci. "Stefan" bezwzględnie wymagał dystansu w kontaktach. Wiedział, że jesteśmy młode i ładne, kursanci zaś to interesujący mężczyźni. Chciał wykluczyć możliwość wzajemnych zauroczeń, nie sprzyjających konspiracyjnej pracy, toteż, proponując współpracę, stawiał twarde warunki. Spokój, powaga, dystans - żadnego zapraszania do domu, żadnego nawiązywania towarzyskich kontaktów, nie mówiąc już o najmniejszym nawet flircie. Szczególnie ponuro zabrzmiała informacja, że "jedną taką", co to nie umiała się dostosować do tych wymagań, wyrzucili po prostu z organizacji. No, to już byłoby rzeczywiście dno i absolutny powód do samobójstwa - wylecieć z powodu bezmyślnej kokieterii z tak ważnej patriotycznej roboty. Tak więc w "Zagajniku" były same "Oleńki Bilewiczówny". Ta surowa dbałość "Stefana" o bezpieczeństwo i powagę pracy dała doskonałe wyniki. Na około 1200 przeszkolonych w "Zagajniku" oficerów i żołnierzy nie było nigdy najmniejszej wsypy, która mogłaby się odbić ujemnie na funkcjonowaniu tej komórki. Jeden z kursantów, porucznik "Żubr", który za niespełna dwa lata został moim mężem, nigdy nie był w tych konspiracyjnych czasach zaproszony do mojego rodzinnego domu, choć zrobił w "Zagajniku" i na mnie duże wrażenie, gdy opowiadał o swoich ucieczkach z niemieckich oflagów.

LOKALE "ZAGAJNIKA"

Lokal przy ul. Karolkowej

Skromne mieszkanie krawcowej w robotniczej dzielnicy Warszawy, na Karolkowej na Woli, było lokalem najczęściej chyba wykorzystywanym i przez to najbardziej narażonym na przypadkową dekonspirację. Stara, odrapana kamienica z typowym podwórzem-studnią. Zniszczone, wydeptane schody, ciemnawe pomieszczenia... Pamiętam, że trzeba było przejść przez pokój, w którym stała maszyna do szycia, i w którym pracowała właścicielka mieszkania, by znaleźć się w większym i staranniej urządzonej pomieszczeniu. Tam odbywały się tzw. "podjęcia" osób kierowanych na kursy w charakterze słuchaczy. Było tam

duże lustro i stół, nakryty serwetą z kordonką, ze stojącą na środku dużą, szklaną kulą, o wnętrzu w kolorowe pasma jak zastygła tęcza. Dosłownie wszyscy przeszkoleni w "Zagajniku" słuchacze znali ten adres, a mimo to lokal pracował bez przerw, cały czas, aż do wybuchu powstania.

Nie ma już dziś tego domu, zginął chyba razem z innymi domami na Woli i nikt z nas nie wie, jaki los spotkał tę skromną, bohaterską rodzinę, bezimiennie, a ofiarnie biorącą udział w prowadzonej walce.

"Szkłane domy" (spotkanie z Janem Piwnikiem i Janem Rogowskim)

Kilka dobrych lokali kursowych mieliśmy w spółdzielni mieszkaniowej "Szkłane Domy" na Żoliborzu. Do niektórych z tych mieszkań wchodziło się z okrężnego krużganku, nie z klatki schodowej. W jednym z nich oddano nam do dyspozycji mały pokój, z wejściem właśnie z krużganku. Był to raczej niebezpieczny lokal. Sytuację ratowało jego ewentualne powiązanie z resztą mieszkania, dające dodatkowe zaplecze, pewne oparcie i przestrzeń.

Tam właśnie poznałam "Donata"- "Ponurego" (Jan Piwnik) i "Czarękę" (Jan Rogowski). Występowali obaj w "Zagajniku" w charakterze wykładowców taktyki. Na inaugurację szkolenia "Donat" przedstawił relację z przebiegu odbicia żołnierzy Armii Krajowej z więzienia w Pińsku. Wrażenie było ogromne. Akcję tę, z której wszyscy byliśmy dumni, przygotowaną i obmyśloną w najdrobniejszych szczegółach, zrealizowaną z żelazną konsekwencją i wspaniałą znajomością warunków lokalnych - przedstawiał "Donat" spokojnie i z pozoru beznamiętnie, choć "koronkowość" roboty zdradzała, jak bardzo miał ją "we krwi". Chłoniliśmy każde słowo - zaszczytem było poznawać "Pińsk" z relacji samego dowódcy. Notowałam wszystko z największą skrupulatnością. "Stefan" polecił mi przygotować z tej relacji konspekt do wykorzystania przez innych wykładowców. "Donat" żartował - "dobrze, że to wszystko pani sama pisze, bo ja miałem zawsze dwójkę z polskiego". Obaj z "Czaręką" byli szalenie bezpośredni, przyjacielscy i pełni humoru. Przychodzili zwykle razem i już po wejściu do mieszkania nucili na powitanie znane wtedy tango - "Czy włóczęga to coś najgorszego, czy włóczęga nie ma prawa żyć". Słuchaczami tego kursu było dwóch starszych panów, kulturalnych i miłych, bardzo "cywilnych". Stanowili wzajemny kontrast. Młodszy, którego pseudonimu nie pamiętam, był wysoki, szczupły i energiczny. Starszy - maleńki,

5

cichy, delikatny pan "Klemens" - "do rany przyłóż, a zagoi się" - zawsze mnie dziwiło, jak mógł on wybrać ten kierunek szkolenia. Był chyba za delikatny na tak bezwzględną formę walki jak dywersja.

"Szkłane domy" - mieszkanie pani Stefanii Osmólskiej - "Zygmus-Zagończyk"

W żoliborskim mieszkaniu pani Stefanii Osmólskiej, bibliotekarki z Biblioteki Publicznej na Koszykowej, którą znałam jeszcze z lat mojej nauki w szkole bibliotekarskiej, było nam wygodnie. Mieszkanie zwykle było puste - miałam klucze i sama otwierałam drzwi. Teraz kiedy pisząc te wspomnienia sięgam do dna pamięci, widzę jak z atmosferą tych wnętrz, tak różnych - ubogich i zamożnych, zadbanych i zupełnie surowych - kojarzą mi się ludzie, którzy się przez nie przesunęli. Szkolenie - to było przynajmniej 4 godziny wykładów non-stop. Zwykle dwóch wykładowców prowadziło każdego dnia taki kurs. U pani Osmólskiej widzę "Zygmutusa" - jednego z najciekawszych, poznanych przeze mnie na kursach ludzi. Wysoki, barczysty, z krótkim wąsem - miał w swej postaci coś z bohatera Trylogii. Przypominał się Chreptiów i pan Nowowiejski - przypominała się nuta harcerskiej pieśni "o rycerstwie z tych kresowych stanic". W myśli nazywałam go sobie "Zagończykiem". "Zygmus" absolutnie mi nie pasował. Kiedyś gdy czekaliśmy na wykład, "Zagończyk" przyznał się, że pochodzi z powstańczej polskiej rodziny, osiedlonej od kilkudziesięciu lat - na skutek carskiego jeszcze wyroku - gdzieś na Syberii. Do kraju po forsownych staraniach przyjechał "Zygmus" przed samym wybuchem wojny, w którą już zaczynało wierzyć. "Bić Niemca, bronić ojczyzny" - to była dewiza "Zygmutusa".

Sam z wykształcenia inżynier mechanik, studiował na którejś z sowieckich uczelni technicznych. Na naszych kursach wykładało dwóch inżynierów mechaników z Politechniki Warszawskiej: "M-1" - inż. Kazimierz Kotarba, po wojnie rektor Politechniki Gliwickiej i "M-2" - inż. Stanisław Lisowski - "As". "Zagończyk" postanowił zmierzyć się z nimi od strony profesji. Obaj panowie zgodzili się na taką próbę sił. Zapamiętałam - chyba na zawsze - rozjaśnioną twarz "Zygmutusa", który swą piękną, bezbłędną a śpiewną polszczyzną opowiadał mi jak to się odbyło. Niech pani sobie wyobrazi przegrałem - ja prymus - przegrałem z inżynierami, którzy w toku studiów mieli opinię tylko dobrych studentów. To wielki dzień - unosił się - macie świetne uczelnie, doskonałych inżynierów, i chwała Bogu!

W jednym z ciężkich dni powstania, kiedy bardzo dużo ludzi zginęło na Długiej, gdzie w Archiwum Akt Dawnych miał swoją kwaterę płk Wachnowski - zobaczyłam nagle w narożnej bramie, przez którą trzeba było przebiec, by wydostać się na ulicę - zabitego, przykrytego jakąś plandeką mężczyznę. Leżał na wznak - spod plandeki widać było cywilne, sportowe spodnie i nogi w grubych, do kolan sięgających skarpetach. Bezwładna, wystająca ręka, ze znajomym sygnetem na palcu, napęliła mnie trwogą - przecież to "Zagończyk"! Twarz zabitego była zakryta - nie miałam siły, by ją odsłonić. Może się omyliłam - i oby tak było. Szkoda było każdego, życie ludzkie nie ma ceny - ale "Zagończyk" był wspaniały i wiele mógł dokonać. Stąd i żal mocniejszy.

"Szkłane Domy" - mieszkanie pp. Gomólińskich; por. "Kron", pani Irena Próchnikowa, trzej z oflagu w Dössel

Na Żoliborzu, w "Szklanych Domach" mieściło się mieszkanie państwa Gomólińskich. Kupowało się tam rozsady pomidorów - takie było hasło. Drzwi najczęściej otwierała babcia, a Łukasz, mały synek gospodarzy, rozgarnięty i miły chłopaczek, towarzyszył mi do momentu, gdy zaczynali się schodzić słuchacze. W pokoju gdzie odbywały się wykłady było ciepło, a w pogodne dni - słonecznie. Z dużego portretu pani domu, utrzymanego w pastelowej gamie - Witkacy ukośnym napisem dziękował za papierosy i wermuth. W tym miłym lokalu najczęściej minierstwo wykładał por. "Kron", skoczek spadochronowy, sympatyczny, opanowany, jakiś "jasny od środka". Wszyscy głęboko przeżyliśmy jego śmierć w akcji odbicia więźniów pod Celestynowem, na którą "na siłę" się wprosił. Tak czasem idzie się samemu "pod kosę", bez przeczuć i bez lęku.

W tym właśnie mieszkaniu poznałam kiedyś panią Irenę Próchnikową, siostrę pana domu. Musiała mieszkać blisko, bo pamiętam, że w szlafroku i rannych pantofelkach przybiegła na chwilę po jakąś prasę - energiczna, pełna życia, mimo ciosu, który ją dotknął, gdy nagle umarł jej mąż, znany działacz PPS-u, Adam Próchnik. Nikt nie wiedział, że wkrótce zostanie aresztowana i zginie bez śladu w berlińskim Moabicie.

Słuchaczami jednego z kursów, odbywającego się w tym mieszkaniu była grupa trzech młodych oficerów - uciekinierów z oflagu w Dössel. Zaprzyjaźniłam się z nimi z miejsca i wszystkich pamiętam doskonale. Najstarszym był por. "Smok" - wysoki, małomówny, o

7

łagodnym, miłym sposobie bycia. Ten krwiożerczy pseudonim potwierdzał sprawdzoną przez nas, "jędze", prawidłowość: "bestie", "smoki" - to ludzie zrównoważeni, delikatni i cisi, natomiast wszystkich "łalusiów" i "Zygmusiów" rozsadzała wprost energia i żywiołowość. A więc był w tej grupie por. "Smok", o prawdziwym imieniu Zygmunt, ppor. Franek - energiczny, jasnowłosy, rzeczywiście noszący to imię i szczupły ciemnooki ppor. "Ślepowron", czyli Tadeusz. Opowiadali ciekawie, sugestywnie o swojej ucieczce podkopem z oflagu w Dössel, we wrześniu 1943 roku. Im przyniosła ona wolność, dla większości jednak ich kolegów obozowych ucieczka ta skończyła się tragicznie. Niemcy wbrew konwencji genewskiej całą grupę oficerów, których udało im się zatrzymać, rozstrzelali w Buchenwaldzie. Od tych dzielnych chłopców dostałam na pamiątkę, gdy rozstawaliśmy się, srebrny pierścionek, bardzo modny w okupacyjnej Warszawie. Wyobrażał on prostokąt okratowanego okna i wijącą się wokół ramy gałązkę bluszczu - rzeczywistość i nadzieję.

Z małej książeczki kupionej już po wojnie we wrocławskim kiosku "Ruchu", pióra Wincentego Kawalca pt. "Pięćdziesięciu z Dössel", odtworzyłam nazwiska naszych kursantów - i myślę, że trafiłam dobrze. "Smok" - por. Zygmunt Pietrzyński, zginął w powstaniu na lotnisku bielańskim; "Franek" - ppor. Franciszek Baumgart, brał udział w powstaniu i przeżył je skoro autor pisze, że jest "pracownikiem państwowym"; "Ślepowron" - ppor. Tadeusz Dietrich, przydzielony - jak pamiętam - do dywizji wołyńskiej, przeżył wojnę i wg Kawalca pracuje jako lekarz.

Żolibórz - mieszkanie pp. Kaczkowskich na ul. Dziennikarskiej

(spotkanie z por. "Żubrem")

I jeszcze Żolibórz - ulica Dziennikarska. Małe piętrowe domki, ogródki, wąska uliczka, biegnąca w dół od położonej wyżej magistrali ulicy Krasińskiego. U państwa Kaczkowskich czułam się jak u dobrych znajomych. Gospodarz - pułkownik w stanie spoczynku, ofiarny i pogodny, jego żona - pani jeszcze piękna, dla nas zawsze gościnna i matczyna. Tacka z herbatą i jakimś słodkim dodatkiem była stałym akcesorium naszych spotkań w tym serdecznym domu. Korzystaliśmy zwykle z małego gabineciku na parterze, z oknami wychodzącymi na ogród. Okrągły stolik z figurką krasnoludka na klonowym liściu - maskotką, którą kiedyś przyniosłam "na szczęście", fotele, kanapka, dywan tłumiący kroki.

8

Hasłem była tu "herbata". Miało to swój odpowiednik w rzeczywistości, bo płk Kaczkowski prowadził wśród znajomych małą sprzedaż herbaty z ziół, dających doskonały aromatyczny wywar, o świetnym gorzkawym smaku. Nie umywały się do tej mieszanki sprzedawane w sklepach różne ekstrakty, imitujące esencję herbaty, której brak odczuwaliśmy wszyscy dotkliwie. Trudno przecież wyobrazić sobie polski, gościnny dom bez tego napoju "dobrego na wszystko". Na Dziennikarską przynosiłam zawsze najnowszy numer Biuletynu Informacyjnego, bo stary pułkownik był zawsze żądny wiadomości. Córka gospodarzy, pani Irena, była wprowadzona w nasze spotkania - wszystko to stwarzało atmosferę spokoju i bezpieczeństwa, tak bardzo potrzebną w tej pełnej napięcia pracy.

Tu właśnie poznałam por. "Żubra" (Waleriana Ryszarda Żelaźniewicza) uciekiniera z Oflagu X-C w Lubece. Nie przeczuwałam zupełnie kim w przyszłości stanie się dla mnie ten młody człowiek. Wtedy niespodziewanie zostałam przydzielona do kilkudniowej opieki nad grupą "Ewy" (Jadwiga Zylberowa), która zachorowała. Z opowiadań koleżanki znałam wszystkich uczestników. Był to ciekawy zespół, a "Żubr" wypadł w jej ocenie szczególnie korzystnie.

Zadymka tego dnia szalała od rana, na ulicach potworzyły się ogromne zaspas, a tramwaje chodziły z wielkim opóźnieniem. Spieszyłam się, brnąc przez śnieg Dziennikarską do "Dziadków" - taki kryptonim miał ten miły lokal. Przede mną, sprężystym, "wojskowym" krokiem szedł młody człowiek, w długim ciemnym płaszczu i tyrolskim kapeluszu. Zastanowił się chwilę przed furtką państwa Kaczkowskich i ruszył wolno w dół ulicy. Było jeszcze wczesnie, ale nietrudno było się domyśleć, że to pierwszy słuchacz krąży w pobliżu. Ledwie przygotowałam wszystko, co było potrzebne do wykładu o zapalnikach chemicznych, gdy rozległ się dzwonek przy drzwiach. W wizjerze dojrzałam tyrolski kapelusz i zarys ośnieżonej sylwetki. Po wymianie hasła i odzewu "Żubr" był już w oddanym nam do dyspozycji pokoju. Za chwilę przyszli dwaj inni panowie, ale wykładowca - chemiczka, pani Krystyna, wyraźnie miała trudności z dojazdem. Gdy tak czekaliśmy na rozpoczęcie wykładu, a gorąca ziołowa herbata pozwoliła wszystkim "odtajać", "Żubr" zaczął jakoś zupełnie spontanicznie opowiadać o jednej ze swoich ucieczek z Sonderoflagu Colditz IV-C, gdzie długi czas przebywał. Opowiadanie tak wszystkich zajęło, że nawet kiedy pani Krystyna zmarznięta była już między nami, to nie mówiło się tego dnia o zapalnikach. Nigdy nie można było przewidzieć, co i

komu może się przydać w tych groźnych czasach. Technika ucieczki mogła stanowić także materiał szkoleniowy. "Stefanowi" lojalnie opowiedziałam jak to się wykład o zapalnikach nie odbył nie tylko z powodu śnieżycy i jak to nasi słuchacze dopiero za kilka dni zgłębili tajniki zapalników, naszej, konspiracyjnej i tej "importowanej" z Anglii, produkcji.

W oflagu IV-C, mieszczącym się w starym saskim zamku Niemcy zgrupowali największą liczbę uciekinierów-recydywistów różnych narodowości. Mimo surowego reżimu, wbrew oczekiwaniom komendantury obozu, właśnie w Colditz mnożyły się ucieczki indywidualne i grupowe. Konkurowano wręcz ze sobą o prymat w pomysłowości i logice przygotowania tych akcji. "Żubr" uciekał z Colditz kilkakrotnie - niestety bez powodzenia. Ucieczka o której nam opowiadał miała miejsce wczesną jesienią 1942 roku, ze spaceru w parku okalającym zamek-więzienie nad Muldą. Plan jej był doskonale przygotowany. Za ukrycie posłużyła szopa, koło której wracający ze spaceru oficerowie musieli przechodzić. Okna tej szopy wychodziły na nieuczęszczaną część parku - już za drutami. Wtajemniczeni w plan ucieczki koledzy pokryli lukę w szeregu przygotowaną kukłą, nadciągająca gradowa burza zmieszała trochę szyk wracającej kolumny i Niemcy nie zauważyli braku jeńca. "Żubrowi udało się dotrzeć na stację kolejową, gdzie wskoczył do odjeżdżającego towarowego pociągu. Alarm w obozie ogłoszono już po powrocie ze spaceru i po burzy. Obława z psami ruszyła natychmiast do parku, ale ulewny deszcz zdążył zmyć ślady. Dopiero we Wrocławiu, na dworcu głównym, "Żubr" został odkryty przez żandarmerię, gdy wychodził z peronu do miasta. Miał wtedy szczęście - przekazany do Wehrmachtu, nie do Gestapo, został odesłany pod eskortą z psem z powrotem do Colditz. Udana ucieczka miała nastąpić dopiero za rok, jesienią 1943 roku ze szpitala oflagu X-C w Lubece, dokąd został przewieziony w okresie likwidacji obozu Colditz. W ucieczce tej, również doskonale przygotowanej pomogli mu dwaj lekarze - Polak, dr Zygmunt Chojnacki (57 PP Poznań) i Jugosłowianin, którego nazwiska już nie pamiętam. Znaczącej pomocy udzielił również młody podchorąży, też bezimiennie przeze mnie zapamiętany, który wychodził do pracy poza obręb obozu i przygotował w umówionym miejscu ubranie cywilne dla zbiega. I tym razem droga wiodła do kraju, nie na Zachód.

"Żubr" wziął udział w powstaniu (Krzyż *Virtuti Militari*) przejmując na rozkaz płk "Radwana" dowództwo kadrowego plutonu dywersyjnego w ugrupowaniu "Bartkiewicza".

Dowodził nim poprzednio kpt. "Roman", który bohatersko poległ w jakimś wypadku. O śmierć było tam łatwo - pluton miał swoje "mp" w Towarzystwie Kredytowym Ziemskim, na rogu Mazowieckiej i placu Małachowskiego, a więc na pierwszej linii frontu, dosłownie o krok od Niemców okupujących strategiczny teren placu Piłsudskiego wraz z budynkiem Zachęty. Ciężko ranny został w ruinach pałacu Kronenberga (dzisiaj stoi tu hotel Victoria), z którego prowadził ostrzał niemieckich pozycji. "Żubr" utrzymał się przy życiu dzięki swym wiernym żołnierzom. Przenosili go bliskiego śmierci (postrzał w szyję) ze szpitala do szpitala, w miarę jak poszczególne ulice dostawały się w ręce wroga. Do dziś jest u nas pled jego łączniczki "Gizelki" (Helena Długosińska-Żurawska), który wyniósł ratując się sam z płonącego szpitala na Foksal, dokąd już nikt nie mógł dotrzeć dla niego z pomocą. Szczęśliwie trafił do szpitalika prowadzonego w garażu ambasady japońskiej przez dr Malanowskiego, któremu dzięki świetnej znajomości języka udało się wmówić Niemcom, przy likwidacji tego szpitala, że leżą tu tylko jego prywatni pacjenci, poranieni przez przypadek odłamkami. Po upadku powstania, wywieziony z rannymi do Pruszkowa został znaleziony i zabrany przez swych przyjaciół, państwa Leonostwa Wiśniewskich z Poznania. Zapewnili mu oni pomoc i opiekę.

Wtedy, tamtego śnieżnego popołudnia, kiedy "Żubr" w takim napięciu trzymał naszą uwagę, nawet mi przez głowę nie przeszło, że za ponad rok spotkamy się przypadkowo w Częstochowie, że rozpoznam go nieomylnie mimo usztywniającego kręgi szyjne i przysłaniającego twarz gorsetu, i że to spotkanie zakończy się naszym małżeństwem. Przyszłość była dla nas białą kartą, a szanse na los szczęśliwy mogły się wydawać znikome, gdyby nie młodość nas wszystkich, która zawsze wierzy i zawsze ma nadzieję.

Mieszkanie na ul. Czerniakowskiej - lokal "Samurajów"

Był tu tylko jeden dwutygodniowy kurs dla ludzi z tej grupy - następne z jakiegoś powodu zostały odwołane. Doskonale pamiętam swoją "trójkę". Dowódca grupy - "Jerzy", lekarz z wykształcenia, "Ludwik" - oficer zawodowy, i najmłodszy z nich podchorąży "Zych" - chyba student. Bardzo się z nimi zżyłam przez te dwa tygodnie. Byli inteligentni, doskonale wychowani, świetnie radzili sobie z całym kursowym materiałem. Mieszkanie było ubogie i zaniedbane, ale wszędzie dawała o sobie znać Japonia. Widocznie któryś z nich w tamtej

egzotycznej kulturze odnalazł wzorce dla siebie, stąd oryginalne akcesoria i stąd kryptonim grupy. "Jerzy" - brunet o skośnych oczach, z cienkim długim wąsem przypominał bardzo aktora ze znanego przedwojennego filmu "Gorzka herbata generała Yen" i on z tej grupy najwyraźniej pasował do stylu i surowej atmosfery mieszkania. Siedziałam więc na prostej kanapie, pod lampą z trzciniowym abażurem, wśród japońskich niebarwionych wachlarzy i w myśli rozwiązywałam, razem z "moimi panami" taktyczne zadania, które opracowywał "Eryk", szef "Zagajnika". Bardzo mnie to pasjonowało - usiłowałam sprawdzić, czy mam jakąś wojskową intuicję, czy mi jej brak. Dziś gdy myślę o tych trzech młodych ludziach, których twarze tak dobrze pamiętam, pytam losu - czy przeżyli?

Mieszkanie na ul. Czerniakowskiej - lokal chłopców z Powiśla

(pojedynek "judo", śmierć Andrzeja "Morro")

Na Czerniakowskiej był także lokal grupy trzech, albo czterech bardzo młodych chłopców, prawie jeszcze dzieci. Byli to typowi "warszawiacy" z tej nadwiślańskiej dzielnicy, którzy - jak u Makuszyńskiego - nawet śmierć potrafili ogrywać. Bystrzy, zaradni i pełni werwy, a przy tym szalenie mizerni i chudzi. Ich emocje rozpałił zapowiedziany przez taktyka, spadochroniarza z Anglii, pokaz "judo". "T-2" czyli Zbigniew Bąkiewicz cc, (wśród nas, łączniczek, zwany Tadeuszkiem) tego dnia trochę się spóźnił i moi słuchacze przechwalali się, jak to oni tego "judogę" położą. Bardzo pewny siebie był najstarszy w tej grupie, zawadiacki blondynek, Wirecki. No i nastąpiła klęska. Tadeuszek "japońskim krawatem" kładł wszystkich, Wireckiego też. Byłam im wdzięczna za poczucie humoru - śmiali się wszyscy, więc i ja nie potrzebowałam zachowywać powagi, aby im nie zrobić przykrości. W bardzo wesołym nastroju skończył się ten kurs, którego "judo" było ostatnim punktem programu. Nikt nie przeczuwał, że kocim krokiem zbliża się do nas okrutny, wojenny los. W parę dni później, na przystanku tramwajowym przy placu Zbawiciela, byłam umówiona z Wireckim - miałam mu wręczyć komplet instrukcji kolejowych. Długo i daremnie czekałam na tego sympatycznego chłopca. Został wzięty przez Gestapo z ulicy, prawdopodobnie gdy szedł na to spotkanie ze mną. Były o nim wiadomości z Pawiaka - złe wiadomości...

Przez słoneczne podwórze, obok zarośniętej winem oficynki, gdzie odbywał się ów kurs, przebiegałam znów w czasie powstania, prowadząc Andrzeja "Morro" (Andrzej Ro-

mecki) z ulicy Śniegockiej na Wilanowską 18/20 do płk Radosława. Kilka dni później bolesnym echem odbiła się w naszych szeregach jego śmierć. Zginął, gdy biegł na pozycje żołnierzy gen. Berlinga, którzy stawili się na pomoc powstańczej Warszawie. Te nieliczne, ale bohaterskie, polskie forpoczty sowieckiego frontu walczyły z nami ramię przy ramieniu, ginąc gęsto.

Masakra na ul. Wilanowskiej i ocalenie

Ulica Wilanowska to także znaczący dla mnie rozdział życia. Dom pod numerem 18/20 znałam jeszcze z czasów konspiracji, bo w którymś z pięknych mieszkań na I piętrze był lokal jednej z grup Parasola, szkolonej na naszych kursach. Pamiętam por. "Nieszka" (Stanisław Nowiński), który był dowódcą grupy. Spotkałam go później na Starym Mieście, w ostatnich dniach życia tej dzielnicy. Gdy pytałam jak się trzyma on i jego ludzie - skwitował mnie gorzkim stwierdzeniem - "z Parasola zostały tylko druty". Resztki wspomnianych domów na Wilanowskiej było dane mi ujrzeć zimą 1945 roku, kiedy z siostrą, przez gruz i leje dobrnęłyśmy w to miejsce. Tu wisiała groza, czułyśmy ją namacalnie. Kiedy padał Czerniaków, 19 i 20-go września 1944 roku Niemcy dokonali na Wilanowskiej masakry wśród rannych żołnierzy i cywilnej ludności. Szalał tam elegancki esesman dowodzący kompanią Wehrmachtu. Byli w niej również żołnierze mówiący trochę po polsku. Pamiętam ich krzyki kierowane do kobiet w piwnicach: "matka, siostra, żona - wychodź..." W piwnicach tych domów były przede wszystkim powstańcze szpitale, w których leżało mnóstwo rannych. Bohaterska lekarka dr Konstancja Semadeniowa - nie opuściła swoich chorych. Był przy niej, pamiętam, jej mały synek - może ośmioletni, bardzo opanowany i dzielny. Poprzedniego dnia, a może nawet parę dni wcześniej, ewakuowało się na Mokotów dowództwo Radosława ze zdolnymi do walki żołnierzami. Sama miałam poronną szkarlatynę i choć wtedy czułam się już prawie zdrowa, z konieczności musiałam zostać w szpitalu, odcięta od swoich koleżanek-łączniczek ze sztabu Radosława. Tu, w nocy z 19-go na 20-go września, w piwnicach rozgrzanych pożarem górnych pięter, szyły harcerki-sanitariuszki flagę Czerwonego Krzyża, bo nikt z nas nie chciał się zgodzić na wywieszenie białej chorągwi - symbolu poddania. Rano, gdy zgłosiłam się do dr Konstancji, proponując pomoc - dostałam polecenie, by z mąki, ofiarowanej nam przez ludność cywilną, ugotować klusczankę dla rannych. Mały, około 13-letni łącznik w mundurze niemieckim, z białą-czerwoną opaską na

rękawie pomógł mi rozniecić ogień, budując na rozbitej klatce schodowej palenisko z cegieł. I wtedy, gdzieś głęboko w piwnicach, usłyszeliśmy huk wystrzału. To byli Niemcy. Krzyknęłam mu, by zdjął opaskę i zrzucił mundurową kurtkę, ale on tylko popatrzył na mnie - milcząco i dumnie. Ja sama, rozmundurowałam się już wcześniej - w nocy, po walce z sobą i po rozmowie z Ojcem "Pawłem" (O. Józef Warszawski, jezuita, kapelan sztabowy Radosława). Ojciec "Paweł" w piwnicznym korytarzu spowiadał i błogosławił tych, którzy razem z wycofującymi się żołnierzami gen. Berlinga, zdecydowali się na odpłynięcie pontonami na praski brzeg. - Nad Wisłą dantejskie piekło... zmasowany ogień artylerii na rzekę... byłem... widziałem - rzucał urywane słowa - Zostań! Rozmunduruj się! Jja też to zrobię. Walczymy z wrogiem, który nie szanuje żadnych praw. Jeszcze tu musimy się przydać. - Wiem, że ten nieustraszony kapłan przydał się jak najbardziej. Widziano go potem na Woli, w naznaczonym męką ludzką kościele Św. Stanisława, gdzie niósł pomoc wszystkim potrzebującym. Wtedy posłuchałam jego nakazu, choć obco się czułam, zdejmując moją tygryskę, "pamiętającą" Wolę i Stare Miasto. Poczucie honoru z najwyższym trudem zawierało kompromis z rozsądkiem.

Gdy słysząc wystrzały, zbiegłam do piwnic, przekonałam się z rozpaczą, że ranni - a teraz zabici - leżeli wyraźnie oznaczeni jako żołnierze (z powstańczymi opaskami, baretkami, niektórzy w furazerkach) - to był ich heroiczny wybór. Znow odżyła wczorajsza, pogłębiona wstrząsającym widokiem rozterka. Wysłałam stamtąd jak zbity pies - wprost na klatkę schodową, na której już byli Niemcy. Ów oficer SS, o którym wspomniałam, zastrzelił w tym szpitalu moc rannych. Z resztką niedobitych została dr Konstancja. Dni były wtedy gorące, noce tylko bardzo zimne - niemniej dalszy pobyt na tym pobojuisku dla jeszcze żywych, a unieruchomionych rannych był nie do zniesienia. Według zasłyszanej relacji, bohaterska lekarka dotarła na Szucha, żądając egzekucyjnego plutonu dla siebie i swoich rannych. Wtedy, podobno, Niemcy filmowym gestem, z honorami, przewieźli przydzielonymi sanitarkami ocalałych żołnierzy do któregoś z podmiejskich szpitali.

Wtedy, 20-go września, mordowani byli zarówno nierozmundurowani powstańcy jak i ludność cywilna, w tym nie mogący wyjść z piwnicznych szpitali, ciężko ranni. Wszystkich nas, mogących chodzić, wypędzono na olbrzymie podwórko. Wermacht otoczył tłum, a wewnątrz tego kręgu, w dzikim szale mordował ludzi ów oficer SS. Śliczna, smukła jak

14

topola, młodzianka dziewczyna w tygryscie (nie zdjęła jej), z czarnymi wspaniałymi warkoczami - zgięła się w pół i padła koło mnie. Zginął i mój mały łącznik, który nie chciał zdjąć powstańczej bluzy. Ale padali na moich oczach ludzie z pewnością cywilni - mordercze ciosy raziły na ślepo.

Mnie i małą harcerską sanitariuszkę - "Chmiela"(Nina Chmielińska, córka warszawskiego adwokata, dzisiaj zakonnica), którą znałam z powstańczego szpitala, ustawił pod murem, jeden z "pomagierów" szalejącego SS-mana. Obok nas gromadzono już innych, a żołnierze zaczęli ustawiać na wprost tego ludzkiego łańcucha karabiny maszynowe. Za chwilę wszystkich nas rozstrzelają - to było jasne. I nie wiem, czy dlatego, że strop psychiczny - naturalna konsekwencja przeżyć - nie pozwalał już na odbiór żadnych bodźców, czy dlatego, że wszyscy od dawna byli przygotowani na tę chwilę ostatnią, czy dlatego, że ogrom zbrodni, której byliśmy świadkami wywołał tak kolosalne, zbiorowe napięcie - tłum milczał i z przerażającym, kamiennym spokojem czekał na śmierć.

Moją ostatnią, wtedy wydawało się, myślą, było malarskie odczucie piękna świata, jego kolorytu: niebo o włoskim błękitnie białą, nasyconą słońcem ścianą pobliskiego domu, cała, bez jednej rysy - jak splukana falą nadmorska plaża...

Gdy dziś o tym myślę, a tak ten moment pamiętam, jakby to było przed godziną, nie dawniej, wiem, że nie cisnęły mi się na usta słowa "Niech żyje Polska" - jak wołali Ci, którzy zginęli w pierwszej ulicznej egzekucji w Warszawie, w Alei Niepodległości, jesienią 1943 roku. I jakoś nikomu z nas to wtedy nie przyszło do głowy, a przecież w tym szalonym napięciu jeden okrzyk mógłby wyzwolić zbiorową patriotyczną ekstazę. Klimat do manifestacji był sprzyjający. Przecież nikt z nas nie chciał się poddać. Przecież Czerwony Krzyż wszyty w białą płachtę miał wprowadzić białe groszki, ale to był Czerwony Krzyż, a nie biała flaga. Wtedy Niemcy skalą popełnianych przestępstw zablokowali w nas mechanizm emocjonalnego reagowania na zewnątrz, pozostała jedynie refleksyjna reakcja do środka, powodująca to zamknięcie.

Tymczasem prawem wojny jest także przypadek - jakieś przedziwne nieoczekiwane zbiegi okoliczności, które może wyrównują bilans strat, a może bywają tylko podporą ludzkiej nadziei... Gdy tak staliśmy bez lęku, milcząc pod murem, podbiegł nagle do mnie i do Ninki-"Chmiela" jakiś żołnierz w hełmie nasuniętym tak głęboko, że zacieniał całą twarz z

wyjątkiem ust, drgających w jakimś gwałtownym skurczu. Nerwowym szarpnięciem wyciągnął nas z szeregu i wściekle coś warknął, wskazując głębię podwórza. Ruszyliśmy wolno, pewne że będzie strzelał w plecy - każdy krok był oczekiwaniem. Za nami raz po raz rozlegały się strzały, a my idąc przez gruz i szkło, doszliśmy całe do bramy sąsiedniego domu. Stała tam już gromadka ludzi. Dojrzałam dr "Wodołaza" (Włodzimierz Nakwaski, neurolog, zob. T. Strzembosz - "Odziały szturmowe"), zmienionego prawie nie do poznania, w całkowicie już cywilnym ubraniu. Ta brama to było ocalenie. Dlaczego to właśnie my przeżyliśmy - dlaczego to właśnie nas wyciągnięto z szeregu śmierci? Kim był ten żołnierz w niemieckim mundurze, może ślązak siłą wcielony do Wehrmachtu? Czy to on uratował także i innych zebranych w bramie? Nikt nie odpowie już na te pytania (zob. Jan Turnau: "Dziesięciu sprawiedliwych", Biblioteka "Więzi", tom 54 z 1986 roku).

Lokal na Fortach Mokotowskich - słuchacze: "Zemsta", "Pokuta" i "Śmierć"

Ci trzej młodzi ludzie, najwcześniej przysłani na kurs z jakiejś odległej wioski, utkwili w mej pamięci przez charakterystyczne okoliczności poznania. Byli nieco starsi od kierowanych później na nasze szkolenia. Lokal był w odległej dzielnicy Warszawy, na Fortach Mokotowskich. Gdy tam po raz pierwszy dotarłam, na mój widok, z leżących na podłodze sienników podniosły się trzy dziwnie wyglądające postacie. Były wielkie, a pod skórą, niemalże chrzęściły kości. "Zemsta", "Pokuta", "Śmierć" - przedstawili mi się kolejno. Zapadał zmierzch, do prawie pustego, pozbawionego sprzętów pokoju, przez okno sączyła się szarość. Ich wygląd, głosy mocno rezonujące w przestrzeni pokoju, pseudonimy o metafizycznej mocy zupełnie mną owładnęły. Ożywał surowy średniowieczny moralitet - wrażenie cofnięcia czasu było tak silne, że w jakimś ułamku sekundy zdumiały mnie dźwięczące na Rakowieckiej tramwaje.

Lokal "Baszty" na Rakowieckiej; spotkanie z konfidentem

Rakowiecka - ulica znacząca wiele w Warszawie, a także i w moim życiu. "Na Rakowieckiej przystaje tramwaj, wiesz, tuż za murem. Co świt nim wracam z nocy w srebrze moich snów..." - wiersz Jasia Golki, jak i ja więźnia Mokotowa już w czasach PRL-u,

wystukiwany morsem w ścianę mrocznej piwnicznej celi przez kogoś, kto go umiał na pamięć...

Wtedy, w tamtych okupacyjnych latach na ulicy Rakowieckiej był lokal "Baszty", która szkoliła na naszych kursach swoich podkomendnych. Pamiętam swoją trójkę. Podchorążówka i tajny uniwersytet - tak ich sobie ustawiłam. Gospodarz lokalu używał imienia "Andrzej". Wszyscy oni znali się doskonale i chyba musieli razem kończyć gimnazjum. Był to ten stopień życia, który nie boi się kpiny ani zgrywy, maskującej ciepło przyjaźni. Do programu kursu podchodzili "z sercem", jak zwykł był opiniować aktywnych słuchaczy - przyjaciel "Ponurego", taktyk "Czarka". Mieszkanie było dobrze urządzone, o wygodnym rozkładzie. Zadziwiały mnie i śmieszyły rozwieszane w różnych miejscach mieszkania transparenciki ze "złotymi myślami" w rodzaju: "kto się umywa tego ubywa", "nic po żonie, kiedy wrzód na ogonie".

Z lokalem na ul. Rakowieckiej łączy się w mej pamięci dość szczególny przypadek. Tego dnia kiedy kończył się prowadzony w nim kurs, miałam dostarczyć dla każdego ze słuchaczy komplet nowych instrukcji. Pobrałam je z naszego lokalu na ulicy Marszałkowskiej i z dość okazałą paczuszką, częściowo przysłoniętą futrzaną mufką, które były wtedy w modzie czekałam na tramwaj na placu Zbawiciela. Byłam w czarnym płaszczu ze skunksowym kołnierzem, na głowie miałam czarną chustkę, spod której wymykały się moje, bardzo czarne wtedy, włosy. Często Żydówki ukrywające się w aryjskiej dzielnicy chodziły właśnie tak rzekomo "żałobnie" ubrane. Musiałam swoim wyglądem zwrócić uwagę łapacza, który denuncjował zbiegów z getta. Gdy tak stałam, ziębnąc i wyglądając oczekiwanego tramwaju, podszedł nagle do mnie typ o przerażającej powierzchowności i powiedział - "pani pójdzie ze mną". Zmartwiałam. O pozbyciu się paczki z instrukcjami nie było nawet co marzyć. Nie straciłam na szczęście kontenansu i bardzo ostro i głośno zapytałam gdzie to mianowicie mam pójść i czego ten ordynus w ogóle ode mnie chce. "Pani nie jest aryjkom" - oświadczył typ, ale już mniej pewnie. Poszłam więc na całego: "ja nie jestem aryjką? - na najbliższym posterunku pan mi za to odpowie - proszę za mną!" Oburzona, i pozornie pewna siebie, przejęłam inicjatywę. Drań speszył się zupełnie. Odstąpił, stanął w pobliskiej bramie i obserwował mnie przez jakiś czas. Potem zniknął. Stałam dalej z walącym sercem. Przepuściłam odpowiedni dla siebie tramwaj, wsiadłam do następnego, który skręcał w ulicę 6-go sierpnia, znów się przesiadłam i z bardzo dużym opóźnieniem, ale już pewna, że nikt

mnie nie śledzi, dobrnęłam na Rakowiecką. Lewą rękę miałam jakoś dziwnie zdrętwiałą i w bardzo marnej formie wróciłam do domu. Od czasu tej przygody zaczęłam myśleć w co się ubieram. Zdolność i potrzeba mimikry w konspiracyjnym działaniu tym szczególnym zdarzeniem określiły swoją wartość.

Mieszkanie p. Kirkorowej na ul. Jotejki - kursant "Mścisław"

Bardzo lubiłam, gdy kursy odbywały się na ulicy Jotejki, w mieszkaniu młodej farmaceutki, pani Kirkorowej. Honory domu pełnili tam jej rodzice, mili starsi już państwo. Wielką zaletą tego mieszkania było ciepło. Na ogół trudno było o to w okupacyjnej Warszawie i przeważnie "urzędowało się" w płaszczach, chuchając na marznące ręce. Na jednym z kursów, który się tam odbywał, znaczącą postacią był "Mścisław". Przez pewien czas służył on w oddziale mjr "Hubala". Wysoki brunet z niebieskawym cieniem zarostu, w długich butach - szalenie zwracał uwagę. Toteż, gdy kiedyś przypadkowo spotkaliśmy się w tramwaju jadącym na Żolibórz, a mali gazeciarze ostrzegali już na wiadukcie, że na Placu Inwalidów jest łapanka, zabrałam go - wbrew zakazowi "Stefana" - do nas do domu, na Zajęczka, gdzie wtedy mieszkaliśmy. Nie mogłam pozwolić, by przystanek dalej aresztowali go Niemcy. "Mścisław" pochodził z Tomaszowa Mazowieckiego. Miał matkę, którą widać bardzo kochał, bo często ją wspominał i brata Jerzego, o którego się niepokoił. Wtedy, u nas w domu, przyznał się do własnego imienia Zygmunt, choć w ogóle bardzo się konspirował. Został aresztowany w rok później, gdzieś pod Tomaszowem, na jakimś wiejskim weselu, w czasie obławy. Brat zginął na miejscu, a "Mścisława" rozstrzelali Niemcy później, razem z innymi więźniami, w tomaszowskich kazamatach. Był to już rok 1943 i śmierć zbierała coraz obfitsze żniwo. W którejś publikacji poświęconej Hubalczykom, chyba u Marka Szymańskiego, natrafiłam na spis żołnierzy, którzy do oddziału "dopłynęli" z Tomaszowa. I myślę, że się nie mylę - znalazłam tam bowiem dwóch braci Stasiołków, Zygmunta i Jerzego, obu nieżyjących, zamordowanych przez Niemców. I oto po latach wróciło do mnie to nazwisko, które "Mścisław" tak ochraniał.

Lokal Konfederacji Narodu na Woli, -- dyskusja polityczna, walki powstańcze

I znów Wola. Prześledziłam już wszystkie dzielnice, w których mieliśmy kursowe lokale, tak ofiarne i zarazem tak bliskie. Owijały one jak wstęgą miasto - stąd ponownie lokal na Woli.

W okolicy pl. Żelaznej Bramy był lokal Konfederacji Narodu, która kilka swoich grup szkoliła w dywersji na naszych kursach. Według regulaminu szkolenia grup spoza AK mogły się odbywać jedynie we własnych lokalach tych ugrupowań. Zwykle źle się czułam w tych obcych mieszkaniach. Siedziałam na wykładach, obserwowałam ulicę lub podwórze, donosiłam materiały na ćwiczenia minerskie i chemiczne, komplety podręczników i zestawy fotograficznych instrukcji różnego rodzaju, otwierałam drzwi - wszystko więc według ustalonego regulaminem porządku, ale ze znacznie większym napięciem, niż na tzw. "własnych śmieciach".

Pamiętam zażartą polityczną dyskusję, która wybuchła po jakimś wykładzie pomiędzy mną, a kursantami Konfederacji. Jeden z nich, inteligentny, odcytany chłopak, mimo pseudonimu "Niemy", był szczególnie zażarty w dyskusji. On najbardziej atakował Marszałka Piłsudskiego, w którego kulcie byłam wychowana i nie chciał słyszeć o deklarowanej przeze mnie apolityczności Armii Krajowej. Niezwykle zasadniczo traktował linię polityczną swoich ugrupowań i po raz pierwszy zetknęłam się z tak wyraźnie formułowaną odmienną opcją. Gadaliśmy długo i coraz głośniej, stojąc w ciemnym przedpokoju, bo właśnie zbierałam się do odejścia. Drzwi wejściowe były tuż tuż. I nagle ciężkie, głośnie kroki na schodach uzmysłowiły nam niebezpieczeństwo sytuacji i lekkomyślność postępowania. Na szczęście był to fałszywy, ale pożądany alarm. Nagle uświadomione zagrożenie ucięło gorącą dysputę i jakoś z miejsca znów wszystkich zjednoczyło. Przecież walczyliśmy razem ze wspólnym wrogiem i mimo wszystkich racji z przeszłości i na przyszłość - "teraz" liczyć się musi najbardziej.

Potem z "Niemy" i innymi chłopcami spotkałam się w powstaniu. Walczyli wspaniale w batalionie "Miotła". I właśnie w pierwszym dniu walki na Woli zostałam wraz z "Kają" (Cezaria Iljin-Szymańska) przydzielona do tego batalionu w kompanii "Torpedy". Przeżyliśmy ciężki tydzień na Okopowej, róg Żytniej pilnując i broniąc ryglowej barykady. Nasi strzelcy wyborowi z okien narożnej kamienicy trzymali pod obstrzałem plac Kercelego. Jak figury kręgli padali Niemcy, gdy tylko któryś wybiegł na tę otwartą przestrzeń. W pewnej chwili

przeraziła mnie własna, "zimna" obserwacja tej w końcu makabrycznej "zabawy". Jak szybko rodzi się okrucieństwo. Gdy padała Wola rozeszły się nasze drogi. Zostałyśmy z "Kają" przydzielone jako łączniczki płk Radosława do sztabu płk Wachnowskiego na Starym Mieście. Któregoś dnia, wysłana z meldunkiem do kwatery "Radosława" na Mławską, w parterowym mieszkaniu, zamienionym na szpital spotkałam znów "Niemego". Był ranny, mizerny, ale dobrej myśli. W wielu publikacjach o powstaniu można zetknąć się z "Niemym" - jego prawdziwe nazwisko to Leszek Niżyński.

ATMOSFERA PRACY I PRZYJAŹNI W ZAGAJNIKU

Gdy tak wracam myślą do pracy w "Zagajniku" i do tamtego bujnego życia, które - mimo że naznaczone śmiercią - na codzień było zwyczajne i właściwie pozbawione lęku. Każdy wierzył w swoją "szczęśliwą gwiazdę" i narzucało się wprost materialne odczucie urzekającego klimatu, który panował w tej komórce. Stwarzał ten klimat cały zespół ludzi - kierownictwo, wykładowcy, łączniczki. Związani byliśmy wzajemną ufnością i szacunkiem, a każdy z poczucia obowiązku starał się wnieść własny wkład w ulepszenie naszej pracy. Im dłużej byliśmy razem, tym bardziej narastała potrzeba rozszerzenia osobistych kontaktów, wbrew pierwotnym organizacyjnym założeniom.

Wspólna Wigilia 1942 roku

Pamiętam pierwszą wspólną Wigilię w mieszkaniu "Stefana" na ulicy Chocimskiej 42. Ze względów koniecznej konspiracji była nas tam wtedy tylko nieliczna grupka. Poznaliśmy naszego szefa, płk "Eryka", spadochroniarza świeżo przysłanego z Anglii. Nie wiedzieliśmy jeszcze o nim nic. Dostał w prezencie malutką statuetkę Buddy, którego uśmiech krył tajemnicę. Świeciły się się świece na małej choince, półgłosem nuciliśmy kolędy, ciemność za oknami nie wydawała się groźna.

Wielkanoc 1943 roku

Pamiętam Wielkanoc w mieszkaniu "Teresy" na Słonecznej. Nie było jeszcze wszystkich. Przez okno z ulgą dojrzałam zbiegającą w dół po schodach, od strony ulicy Skolimowskiej, "Joannę", na którą czekaliśmy z niepokojem. Była ostatnia. Przy tym

skromnym wielkanocnym śniadaniu całe nasze nieliczne towarzystwo zaśmiewało się, czytając dowcipne "Silva rerum" właśnie jej pióra. Była to bardzo złośliwa charakterystyka naszych panów. "Saper VII", w odpowiedzi, podał swoje opinie o paniach, ukazując nas wszystkie też w krzywym zwierciadle. "Elżbieta" z humorem przedstawiła niektórych słuchaczy, ze świetnym zmysłem obserwacji rysując ich sylwetki. Dziwnym zbiegiem okoliczności te ulotne, kruche kartki "Wielkanocnego Dzwonka" ocalały z wojennej pożogi, schowane w naszym drugim z kolei żoliborskim mieszkaniu, na Kozińskiego, gdzie była doskonale zrobiona skrytka. Przez protekcję "Ewy", związanej blisko z chłopcami z Szarych Szeregów, skrytkę tę w podłodze sporządził nam ich "nadworny" skrytkarz. Tafla parkietu podnosiła się za naciśnięciem noża na ukrytą w szczelinie sprężynę - zupełnie jak w bajce. Ocalały tam również eksponaty ćwiczeniowe - spłonki, zapalniki, materiały wybuchowe, instrukcje demonstrowane na wykładach. Są one dziś w Muzeum Historycznym Wojska Polskiego jako dokumenty oporu, oporu i walki.

Pożegnanie dowódcy, płk "Eryka"

W mieszkaniu na Kozińskiego odbyło się w późnym lecie 1943 roku przyjęcie z okazji pożegnania płk "Eryka", który po nominacji na dowódcę okręgu "Polesie" wyjeżdżał z Warszawy. Prezentem jaki dostał od nas tym razem był spirifer, skamieniały ramienionóg z odległej epoki geologicznej - emblemat naszej wiecznej pamięci. Pij spirytus, a będziesz "fer" (fair) - żartował "Tadeusz" (Zbigniew Bąkiewicz cc), czyli "Taktyk 2". Siedząc w naszej zacisznej jadalni, której okna zasłaniały rozrosłe jabłonie, nie czuliśmy żadnego zagrożenia. Gdy wbiegłam po coś na górę, zastałam moich rodziców w pokoju z widokiem na wylotową ulicę Górskiego, stanowiącym doskonały punkt obserwacyjny. Wtedy to, po raz pierwszy, dziwnie ostro uświadomiłam sobie, że te dwa biedne ptaszki, jak nazywałyśmy z siostrą Rodziców, milcząco i samorzutnie czuwają nad naszym bezpieczeństwem.

To uparte męstwo w pokonywaniu i ukrywaniu o nas niepokoju, będące udziałem wszystkich rodziców świadomych, że mają dzieci-żołnierzy warte jest pomnika. Ich pokolenie, doświadczone niewolą, pierwszą światową wojną i trudem odbudowy Kraju, w ciężkich, tragicznych latach okupacji musiało dorastać ponownie do wymiaru czasów, w których przyszło im żyć.

Niektórzy wykładowcy

Nasze konspiracyjne spotkania dawały nam trochę prywatnej wiedzy o nas samych. W normalnym życiu komórki, podporządkowanym regułom szkolenia nie było nawet czasu na rozmowę, nas łączniczek, z wykładowcami. Wśród wykładowców byli pracownicy wyższych uczelni: doc. dr Stanisław Bretsznajder ("Robert"), eks-nauczyciele szkół średnich (prof. Kazimierz Dembowski, "Chemik 2"), specjaliści z różnych resortów (inż. Zbigniew Lewandowski - "Szyna"), wyżsi wojskowi, często zajmujący przed wojną wysokie, kluczowe stanowiska - wytwarzał się więc w stosunku do tych ludzi pewien dystans szacunku z naszej strony. Niemniej jednak zdarzały się przypadkowe sytuacje, w których napięcie kruszyło te bariery, ukazując twarze bez konspiracyjnej maski, napiętnowane cierpieniami i tragiczną rozterką.

Pamiętam takie spotkanie z dystyngowanym, nieposzlakowanym eleganckim i angielskim w sposobie bycia "Tel-em 1", czyli panem "Wilhelmem", w cywilu znakomitym teletechnikiem (Mirośław Panufnik). Szliśmy razem przez żoliborski wiadukt, po jakiejś dużej łapance. Był zmierzch, ludzi na ulicach niewielu, w powietrzu zawisła groza. I wtedy to pan Wilhelm nieoczekiwanie zaczął mówić o swym ciężkim losie. Przeżywał śmierć żony, martwił się o małą córeczkę. Może przeczuwał swoją własną śmierć - nie danym mu było przetrwać wojny - zginął w czasie powstania, na ulicy Skorupki, w domu rozprutym lotniczą bombą.

"M2", czyli mechanik drugi - inż. Stanisław Lisowski ("As"), również sam zajmował się swymi dziećmi, kłopotząc się wieloma sprawami, związanymi z tą opieką. Mieszkał też na Żoliborzu, na ulicy Dymińskiej. Często chodziłam do niego z różnymi poleceniami od "Stefana". Wydaje mi się, że nie ocalały te domy - chyba zostały spalone. Była to kolonia oficerska, której mieszkańców, przeważnie kobiety i dzieci - bo mężczyźni albo zginęli, albo przebywali w oflagach, albo ukrywali się z dala od rodzin - spotkał okrutny wojenny los. W ostatnich dniach powstania Niemcy prawie wszystkie te panie, żony oficerów rozstrzelali. Opowiadał mi to żoliborzanin, pan Wincenty Wojnarowski, który razem z innymi ludźmi tej dzielnicy przypędzony został do kościoła św. Stanisława na Woli. Był on naocznym świadkiem kilku takich egzekucji, w których zginęły panie z Dymińskiej. "Jestem matką Bobka, proszę pamiętać, proszę powtórzyć - wołała rozpaczliwie jedna z nich, już z samochodu który był trumną. Nie wiem, co stało się z naszym inżynierem i rodziną, u której mieszkał "As". On

sam ocalał - odezwał się po wojnie telefonicznie do "Stefana". Pamiętam te pokoiki, zastawione meblami, dość ciasne, ale - jak mi się wtedy wydawało - dziwnie bezpieczne tą pewnością rodzinną, która tak bardzo w rzeczywistości była bezbronna w czasie tej wojny.

Kontakt z "Graniem" w przeddzień wybuchu powstania;

incydent z gestapowcem.

Na Żoliborzu, na Placu Inwalidów, mieszkał z żoną i dwojgiem małych jeszcze dzieci nasz drugi, po "Eryku", dowódca - mjr "Grań". Prowadził on w "Zagajniku" wykłady z minerstwa i z polecenia "Stefana" utrzymywałam z nim stałą służbową łączność. Państwo Marcinkowscy zajmowali duży pokój w mieszkaniu swych przyjaciół. Sami byli chyba wysiedleni z Poznania, czy Pomorza, i żyli w dość trudnych warunkach. Moja ostatnia wizyta u majora wypadła w wigilię powstania, gdy przyszedłam zdać mu sprawę z rozpoznania drogi z Żoliborza przez Dworzec Gdański na Powązki. Zrobiłam tę wyprawę na polecenie "Stefana" i doszłam do wniosku, że nie będzie można liczyć na ten skrót w godzinie "W" - zbyt duże przedstawiało to ryzyko. Ja sama, już 31-go lipca po południu miałam pewne trudności w korzystaniu z tej drogi, którą zwykle przechodziło się swobodnie. Wśród obsługi dworca nagle zaroilo się od Niemców, którzy wprawdzie nie zaczepiali jeszcze nikogo, ale sama ich obecność była dostatecznie wymowna.

O wzrastającym pogotowiu niemieckim świadczył również incydent, który przeżyłam i o którym opowiedziałam majorowi. Oto gdy wracałam z tego rozpoznania i szłam dziwnie pustą Miodową w kierunku wiaduktu, strzelił do mnie z pistoletu gestapowiec, który stał na stopniu bardzo wolno jadącego auta. Wypadek był niecodzienny - takie indywidualne zabawy w polowanie na ludzi w ciągu dnia należały do rzadkości, nawet w Warszawie. Kula świsnęła mi nad głową, odbijając się o mur domu, koło którego przechodziłam. Wydawało mi się wtedy, że nie bardzo się złąkłam i w myśl zasady "wytry-

mac, nie uciekać", nie przyspieszyłam kroku. Kiedy jednak po latach, mój mały synek na spacerze w lesie wymierzył do mnie zniecka z dziecinnego rewolweru - nagle stanęło mi serce. Nic nie ginie z tych napięć i ostrych jak nóż błysków niebezpieczeństwa, które kiedyś nas poraziły. Zostają one gdzieś w głębi świadomości i trwają utajone, aż obudzi je z nagła

jakiś bodziec - podobna sytuacja, czy podobny szczegół, zacząjony w pamięci i nieoczekiwanie znów odkryty - rzeczy już nieważne, a pozoru zupełnie obojętne.

Major "Grań", po wysłuchaniu mojego meldunku, polecił mi wyjechać z domu następnego dnia w południe i udać się na ulice Słoneczną. Sam również zdecydował, że tam dotrze, by oczekiwać na dalsze rozkazy. Odległość Żoliborza od miasta i jego usytuowanie mogło utrudnić nam dotarcie na wyznaczone punkty, ciągle jeszcze - jak i sama godzina "W" - będące dla wszystkich tajemnicą.

Tragedia "Joanny"

Nie mogę się oprzeć bolesnej myśli, że słuszna skądinąd decyzja, którą podjął "Grań", o naszym wyjściu z Żoliborza jeszcze przed akcją i osiągnięciu już ze Śródmieścia prawdopodobnych punktów koncentracji na Woli, zaważyła w sposób tragiczny na życiu jednej z naszych najlepszych łączniczek. "Stefan", używający już wtedy imienia "Tomek", a którego w żaden sposób nie mogliśmy zawiadomić o zmianie ułożonego planu, wysłał na Żolibórz "Joannę" (Zofia Rolnik) z dokładnym już adresem punktu zbiorczego na ulicy Okopowej - w przeświadczeniu, że skrótem przez Dworzec Gdański łatwiej nam będzie tam dotrzeć, niż z jakiegokolwiek innej dzielnicy. Biedna "Joanna" rozminęła się z nami, a nie zastawszy w domu ani majora, ani mnie, postanowiła wrócić na Słoneczną. Wypadki jednak zaczęły się toczyć tak szybko, że nie zdołała już tam dotrzeć. Po bohatersku przedarła się aż na Polną - i tu był kres jej drogi. Zginęła, ugodzona kulą w drugim dniu powstania.

"Joanna" - szczupła, drobna, jasnowłosa, prawniczka z wykształcenia, była w "Zagajniku" zastępcą "Stefana", pracując w tej komórce "ab urbe condita". Lubiliśmy ją wszystkie, ceniąc jej inteligencję i odwagę, a także dowcip, ściszony, a przecież ostry i zawsze trafiający w sedno. Niebezpieczną, choć szczęśliwie zakończoną historię kradzieży torebki znaleźliśmy wszyscy z dowcipnej relacji "Joanny". Jej mama, w podmiejskim osiedlu, gdzie mieszkała, porozwieszała w widocznym miejscu karteczki z podaną stratą oraz nazwiskiem i adresem córki - dla ewentualnego znalazcy. "Joanna", która oszczędzając węższe siły matki, nie wprowadzała jej w swoją konspiracyjną pracę - truchlała, bo w torebce obok dokumentów i pieniędzy ukryta była organizacyjna "poczta". Skąd się dało, usuwała fatalne kartki, ale biedna mama pisała nowe. W końcu zabawa się skończyła. Złodziej-patriota przysłał w

kopercie dokumenty, dołączając lakoniczne zawiadomienie: "reszta zniszczona". Orientacja polityczna warszawskiego żulika podkreślona została tym faktem w sposób bezbłędny.

ŁĄCZNICZKI Z "ZAGAJNIKA"

Największym autorytetem w naszym zespole cieszyła się pani "Teresa" - polonistka (Janina Dembowska), dyrektor doskonałego warszawskiego prywatnego gimnazjum Krystyny Malczewskiej. W mieszkaniu państwa Dembowskich, wśród zabytkowych sprzętów i portretów rodzinnych, stwarzających atmosferę starego dworu, odbywały się kontakty wszystkich osób pracujących w "Zagajniku". Mieszkanie kipiało konspiracją. Pan domu, chemik, wykładał na naszych kursach. Jego dwaj bratankowie, Piotr i Broniek (dziś biskup wrocławski), byli żołnierzami AK. Anulka, młodsza córka, kończyła medycynę na tajnym uniwersytecie. Od Jadwisi, naszej najmiłszej przyjaciółki, aresztowanej w 1942 roku przychodziły listy z Oświęcimia. Przez Słoneczną przewijało się codziennie moc ludzi. Byliśmy jednak wszyscy maksymalnie ostrożni, wspierani przy tym, jak na Karolkowej, przysłowiowym "łutem szczęścia". Lokal więc służył nam cały czas - do powstania - bez zakłóceń. Pamiętam wprawdzie, że któregoś dnia niespodziewany dzwonek do drzwi, naciśnięty w zwykły, a nie w umówiony sposób, wywołał sporo niepokoju. Na szczęście okazało się, że był to inkasent z elektrowni, nie gestapo.

Spośród łączniczek bardzo lubiłam trzy koleżanki, z którymi szczególnie byłam zżyta. Były to: "Ewa" (Jadwiga Zylberowa), "Danuta" (Janina Zeltzer) i "Kaja" (Cezaria Iljin-Szymańska). Najdawniej znałam "Danutę", czyli Ninę.

Jest rok 1939, wrzesień. Warszawa płonie, lecz walczy zaciekle. W Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na Krakowskim Przedmieściu urzęduje Dowództwo Obrony Miasta - gen. Walerian Czuma ze swoim sztabem. W parterowej oficynie, w podwórzu, Biały Krzyż zorganizował kantinę. Gotowało się tam bezmleczne kakao, herbatę, robiło kanapki, podawało do stołu, myło się szklanki. W życiu całym nie nabiłam ich tyle, co w tej kantinie. Strzelanina była nieraz taka, że wszystko leciało z rąk .

Nina, romanistka z wykształcenia - dziś ceniony tłumacz arcydzieł obcych literatur, zaradna, dzielna, pełna humoru, była optymistką. Na zachodnim froncie ruszy ofensywa -

francuska Legia Cudzoziemska, dla której wojna to rzemiosło, da się Niemcom we znaki - żartowała. A tymczasem nad Warszawą huczały bombowce...

Młody oficer parzy usta herbatą. Proszę pani - mówi - niebo się wali na głowy, takiej wojny nie było jeszcze...

Czasu kurz zasypał tamte dni, ale odradzają się one w mej pamięci we wszystkich wrześniech wszystkich lat. Do wybuchu powstania dotrwałyśmy z "Danutą" w "Zagajniku". Ona została na Słonecznej w tamto pamiętne sierpniowe popołudnie - ja z "Żołną" (Maria Lutostańska-Penno, sędzia) odkomenderowane zostałyśmy na Okopową.

Z "Ewą" - panią Jadwigą Zylberową, naszą sąsiadką z ulicy Zajęczka, pracowałyśmy razem w redakcji Agencji Prasowej i jesienią 1942 roku przeszłyśmy razem do Zagajnika. Mąż jej, płk Mieczysław Zylber, był w oflagu, a syn Andrzej walczył w Dywizji Pancerniej gen. Maczka. Nie przeżył wojny - został na zawsze na polach pod Bredą. Pani Jadwiga mieszkała z matką staruszką w willi swych przyjaciół na Żoliborzu, na wprost naszych bloków. Orzechowe oczy, jasne włosy, miła pogodna twarz - taką widzę panią Jadwigę w tamtych latach. Poprzez córki przyjaciół związana była blisko z żoliborską grupą Szarych Szeregów. Tragiczną wiadomość o ranieniu, w czasie zamachu na Kutscherę, Lota (Broniek Pietraszewicz), a potem o jego śmierci, ona pierwsza przyniosła do naszego domu.

"Kaja", czyli Cezaria, to osobny rozdział konspiracyjnych przyjaźni i kontaktów. Inżynier architekt z zawodu, zawsze pełna życia, elegancka, niezawodna w przyjaźni - umiała ukryć przejścia, które ją doświadczyły. W Oświęcimiu zamordowany został jej brat, por. Modest Iljin, partyzant z oddziału majora Hubala. "Kaja" opiekowała się kolegami brata, którzy po śmierci majora i rozwiązaniu oddziału podejmowali pracę w konspiracji. To był ten tor, na którym zetknął się nasz dom z Kają. Przez moją siostrę ("Lucynka" - łączniczka gen. Grota-Roweckiego i gen. Bora-Komorowskiego) szły kontakty hubalczyków (Romuald Rodziewicz - "Tarnawa", Henryk Ossowski - "Dołęga") z Komendą Główną AK. Adres Cezarii dał nam kiedyś Józek Alicki - Horba (zm. 8.06.1989), jeden z ulubionych żołnierzy Hubala, po bratersku z nami, do śmierci, zaprzyjaźniony. I tak "Kaja" została łączniczką w "Zagajniku".

Powstanie na Woli, Starym Mieście i Czerniakowie przeżyłyśmy razem, związane ze sobą jak dwie siostry syjamskie. Nawet szczoteczkę do zębów miałyśmy wsólną, bo moja

została razem z plecakiem na Słonecznej, dokąd miałam "doskoczyć" z Okopowej. Śmiech zbiera na te nasze cywilne wyobrażenia o powstaniu i o walce w ogóle. Tak u płk Radosława, jak i w dowództwie Grupy "Północ", u płk Wachnowskiego, był utarty zwyczaj, że łączniczki z meldunkami, ustnymi wyłącznie, wysyłane były po dwie - dla asekuracji. Jedną zabijają, może druga dojdzie. Biegałyśmy więc wszędzie razem i we dnie i w nocy, z zupełną pewnością, że nic się nie stanie, mimo że dobrze znałyśmy już i "warkot granatu" i ostry świst ekrazytowej, błyszczącej kuli. Spałyśmy na wspólnym sienniku w olbrzymiej sali na parterze Archiwum Akt Dawnych na ulicy Długiej, nosiłyśmy jednakowe niebieskie sweterki z guziczkami w złote i białe stokrotki, "wyfasowane" w niemieckim mieszkaniu na Woli, dzieliłyśmy się konserwą z niemieckich puszek, które z rzadka pojawiały się na naszym "stole", ale zawsze złościły "Kaję". Widzisz, znowu jemy te "małpy" - "Kaja" była przekonana, że puszki pochodzą z jakichś afrykańskich zapasów niemieckich.

W czasach "Zagajnika" właśnie "Kaja" świetnie znająca kuchnię była jedną z gospodyń wielkanocnego przyjęcia na Słonecznej. Pamiętam różne "finezyjne pomysły" uświetniające tę uroczystość. Oto np. każda z pań znajdowała przy swoim nakryciu kartonik z wymalowanym kwiatkiem, pasującym do jej osobowości. Rysował je mój ojciec na "zagajnikowe" zamówienie. "Kaji" wybrałyśmy "storczyk" dla podkreślenia jej bogatej i skomplikowanej natury. Mam do dziś własną kartkę z tamtego dnia, z zatartą przez lata gałązką wrzosu. W dziwny sposób ratowały się z wojennej pożogi takie właśnie drobne, nieprzydatne z pozoru przedmioty, w kruchości swojej kryjące intymny świat doznań i wspomnień, które spod kul wnosił każdy z nas, mimo że wokół waliły się domy i ginął świat, z takim trudem budowany.

Na Starym Mieście mijałyśmy się na utartych łączniczych ścieżkach z "Elżbietą" (Julia Doktorowicz-Hrebnicka-Reymanowa), inżynierem ogrodnikiem z zawodu, autorką dowcipnych wierszyków o naszych słuchaczach. Widzę ją - w tygrysce, z burzą miedzianych, wijących się włosów - jak idzie smukła i zręczna, omijając wyrwy i zwały gruzu: kapral "Elżbieta", a przy niej por. "Klara" (Stanisław Wierzyński). Ta tryskająca życiem dziewczyna, gdy padało Stare Miasto, leżała ranna w szpitalu na Długiej, w Ministerstwie Sprawiedliwości, razem z "Żołną". Ich dwóch nie oszczędził los. Julcia po bohatersku odrzuciła szansę ratunku - nie zgodziła się na włączenie do transportu rannych, przenoszonych kanałem-

27

burzowcem do Śródmieścia... Nie umiała szukać ocalenia dla siebie, gdy inni - poranieni i również bezradni musieli zostać na Starym Mieście i poddać się losowi. I ona i "Żoła", gdy leżały "na waleta" na wspólnym szpitalnym łóżku, zostały przywalone gruzem ze zniszczonego stropu - jedna straciła prawą, druga lewą nogę. W szpitalu tym Niemcy masakrowali rannych bez skrupułów - tylko nielicznym, nieznanym prawem przypadku udało się pozostać przy życiu. "Elżbieta" i "Żoła" ocalały z tego koszmaru i mężnie umiały dać sobie radę z nieszczęściem, które je spotkało.

W latach naszej pracy w "Zagajniku" stykałam się bardzo często właśnie z "Elżbietą", choć pracowałyśmy w innych zespołach - ja u "Joanny", ona - u "Teresy". Znając prywatnie "Stefana" i miejsce jego pracy w Państwowym Instytucie Geologicznym przy Rakowieckiej, wspólnie przenosiłyśmy różne materiały potrzebne do wykładów na nasze lokale kontaktowe. Była to robota dość już wtedy niebezpieczna. W okresie poprzedzającym wybuch powstania coraz częstsze były doraźne, uliczne rwizje wśród przechodniów. "Stefan" wymyślił jednak sposób, który zabezpieczał tak łączniczki jak i materiały. Chodziłyśmy więc jedna za drugą. Przodem szła ta "czysta", bez obciążenia, za nią druga - już "z ładunkiem". Trzeba było bardzo uważać, szczególnie niebezpieczne były wszystkie naroża ulic. Idąca przodem przez uniesienie ręki, tak jakby chodziło o poprawienie włosów czy nakrycia głowy, dawała znać o niebezpieczeństwie. Mam w pamięci sylwetkę "Elżbiety" i własną wyteżoną uwagę - sięgnie do swoich loków, czy nie sięgnie, przejdziemy bez przeszkód naszą trasę, czy też broń Boże, nam się to nie uda...

Dobrym, serdecznym duszkiem "Zagajnika" była "Małgorzata" (Maria Czarnocka) - w Instytucie Geologicznym specjalista od szlifów mikroskopowych. Spotykałyśmy się często w czasach mojej pracy w Ajencji, bo Marysia pomagała "Stefanowi" odbijać to pismo na powielaczu. Potem razem przeszłyśmy do "Zagajnika". Związało nas jednak mocnym węzłem przede wszystkim powstanie. "Małgorzata" jakiś czas biegała z meldunkami z "Kają", zamiast mnie, kiedy naderwałam sobie ścięgna w nogach i przez blisko chyba tydzień nie mogłam w ogóle chodzić. Potem zmieniałyśmy się jako "pary", bo dla odciążenia nas w sztabie płk Wachnowskiego, szef łączności Radosława, "Irma" (Anna Mazurkiewicz - żona pułkownika) przysłała nam do pomocy jeszcze Żołą, która miała być parą Marysi. "Małgorzatka" była niezmordowana - choć maleńka i krucha jak elf - imponowała odwagą. "Żoła" (w cywilu

sędzina) - flegmatyczna, spokojna, równie jak "Małgorzata" dzielna, bardzo nas wspierała samą swą obecnością.

Gnieździłyśmy się we cztery w Archiwum Akt Dawnych - zawsze razem. Miły porucznik "Fon" (Alfred Pokultynis), szef łączności telefonicznej u płk Wachnowskiego ofiarował nam znaną w gruzach dziecinną książkę o Robinsonie Crusoe z dedykacją: "Kochanym Radosławkom", podkreślając nią naszą jedność. Największym dnem ciasnoty i umęczenia stały się dni, kiedy do naszej norki pod schodami (wielka sala na parterze z mnóstwem okien była już niebezpieczna i wszyscy przenieśliśmy się do piwnic) - dodano nam dwóch ciężko rannych żołnierzy sowieckich, odbitych Niemcom przez "naszych chłopców". Biedacy byli bliscy śmierci, robiliśmy im jakieś prowizoryczne opatrunki, ale to były rany wymagające lekarskiej interwencji. Kiedy znalazło się miejsce w szpitalu na Długiej - zostali oni natychmiast tam przeniesieni. Jeśli jednak zważy się, jaki los spotkał olbrzymią większość rannych w tamym szpitalu, to trudno przypuścić, by udało się tym biedakom z dalekiej Rosji przeżyć nasze polskie powstanie.

Tragiczną postacią w "Zagajniku" miała zostać "Marta" - drobna niebieskooka brunetka. Mało ją znałam, bo należała do zespołu pani "Teresy" i jakoś nie stykały się nasze drogi. Mieszkała razem z "Julią", wysoką, wykwintną starszą już panią (Julia Kindlerowa-Hłasko), również łączniczką w naszej szkoleniowej komórce. Pani Julia została aresztowana w związku ze sprawą syna - a "Marta" w którymś z sowieckich nalotów na Warszawę zginęła w płonącym domu na ulicy Grottgera, ugodzonym lotniczą bombą. Został mi w pamięci jej nieśmiały, milczący uśmiech, gdy na wielkanocnym przyjęciu słuchała wierszyka o sobie, który zaczynał się od słów: "Imię ma jednej z dwu biblijnych siostr - tej, co miłuje trudy..." Była jeszcze u nas "Dziubkowa", czyli pani Maria, wprowadzona do "Zagajnika" przez swą powinowatą - "Mysz" (Maryś Włodarska). Wiem, że wśród osób blisko z nią pracujących była ogólnie lubiana, ale sama mało ją znałam. ("Mysz" - Maria Włodarska-Rybicka, geograf, aresztowana w 1942 r., zamordowana w Gestapo w Radomiu.

ZAKOŃCZENIE

I tak oto kończy się ścieg tych wspomnień, coraz bardziej nikły, im więcej mija lat i im więcej popiołu sypie na nie czas... To co napisałam, jest prawdą - nie panegirkiem.

Niemniej jednak gdy czytam te kartki, boję się, że komuś, kto tych czasów nie doświadczył, wydać się mogą ckliwe i przesłodzone. Wszyscy wspaniali, wszyscy dzielni, rycerze bez lęku i skazy, jak w bajce. A gdzież są ludzie wątpiący, których łamie strach - przecież i tacy byli, tworząc inną, ale równie ludzką prawdę o codziennej powszedniości tamtch lat. Czym się tłumaczy, że "Zagajnik" pozostał w pamięci nie tylko mojej, ale i innych, żyjących jeszcze ludzi z naszego zespołu - taką enklawą czystości i dobra?

Chyba tym, że przedstawiam tu jedną linię naszego wspólnego życia, wypreparowa ną z nieznaney mi reszty, toczącej się niezależnie i na prywatną każdego z nas odpowiedzialność. Bezsporne jest jednak, że tę właśnie wspólną linię "braterstwa i służby" potrafilismy uchronić od skażeń. Tak było i nie kryję, że chciałabym twarze tamtych ludzi i ślad naszego działania "ocalić od zapomnienia" - jak to pięknie mówi poeta. Wielu z nas już odeszło, inni zbliżają się do swego kresu, po burzach, odwrotach i klęskach, gdy i starość nie przynosi spokoju, a dni są ciężkie jak ołów. Wydaje mi się jednak, że to jest jakaś wielka wartość wyniesiona z życia, jeśli oglądając się wstecz, można dojrzeć nie chwiejność, nie zawiść, nie upadek, ale "lśniący tęczami początek przebytej drogi"...

Wrocław, czerwiec 1979

Post Scriptum I

Inspiracją do zebrania tych okruchów wspomnień była myśl, i - rzec mogę - swego rodzaju polecenie naszego dowódcy ppłk Henryka Krajewskiego ("Eryka"), aby działalność tej mocno zakonspirowanej komórki, jaką był "Zagajnik", a także ludzie z nim związani, miała także i jakiś pisemny, a jeszcze lepiej, drukowany ślad. Był wierny tej myśli do końca życia. Schorowany i zmęczony wiekiem (93 lata) jeszcze parę dni przed śmiercią dotarł do jednego z redaktorów "Solidarności", który obiecał zająć się drukiem tych wspomnień. Nie udało się to jednak i dlatego ja sama traktuję tamto życzenie jako legat "Eryka". Ppłk Henryk Krajewski był człowiekiem "bez skazy" - cześć Jego pracy i pamięci.

Wrocław, grudzień 1989.

Post Scriptum II

Halina Czermińska-Żelaźniewicz "Urszula" zmarła we Wrocławiu w dniu 4.10.1994, także nie doczekawszy wydania drukiem tych wspomnień, spisanych już ponad 15 lat temu.







UNIWERSYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA
W TORUNIU

UNIWERSYTET
MIKOŁAJA KOPERNIKA

ul. Gagarina 11
87-100 TORUŃ
tel. centr. 14-010, telex: 0552412
fax: 48 56 54-29-44

POLSKA
0.55
ZŁ

Pani
Prof. dr hab. Elżbieta Zawacka
ul. Gagarina 136/26
87-100 Toruń



IV. Korespondencja

- List A. Żelazniemira do E. Zarackiej dotyczący publikacji wspomnień H. Czerminskiej z pracy w "Zagajniku" - Komórki K&G AK, Wrocław 15. IX. 1996, k. 1, s. 1
- List E. Zarackiej do A. Żelazniemira dotyczący za przesłane wspomnienia H. Czerminskiej, Toruń 18. IX. 1996, k. 1, s. 2-3
- List A. Żelazniemira do E. Zarackiej dotyczący publikacji wspomnień H. Czerminskiej, Wrocław 30. IX. 1996, k. 1, s. 4
- List A. Żelazniemira do E. Zarackiej dotyczący publikacji wspomnień H. Czerminskiej, Wrocław ~~6. I.~~, 6. I. 1997, k. 1, s. 5
- List A. Żelazniemira do E. Zarackiej dotyczący publikacji wspomnień H. Czerminskiej, Wrocław 2. II. 1997, k. 1, s. 6
- List A. Żelazniemira do E. Zarackiej dotyczący publikacji wspomnień H. Czerminskiej, Wrocław 12. VIII. 1997, k. 1, s. 7
- List A. Żelazniemira do E. Zarackiej dotyczący publikacji wspomnień H. Czerminskiej, Wrocław 10. IX. 1997, k. 1, s. 8

Halina Czermińska - Żelaźniewicz 1

Andrzej Żelaźniewicz
ul. Pułtуска 6
53-116 Wrocław
tel. 0-71 679382

234

15.9.1996

Wielce Szanowna Pani,

Adres Pani otrzymałem od pani Ruty Czaplńskiej z Wrocławia, z którą od więziennych czasów była w przyjaźni moja nie żyjąca już Mama, Halina Czermińska - Żelaźniewiczowa. Wiem, że Mama musiała także spotkać i Panią, chyba na Mokotowie, bo wspominała kiedyś Panią - jedyną kobietę w męskim towarzystwie "cichociemnych".

Pani Ruta, pracująca nad referatem na organizowaną przez Panią listopadową sesję "Kobiety w AK", zachęciła mnie do przekazania Pani spisanych kiedyś przez Mamę wspomnień z pracy w "Zagajniku" - jednej z komórek KG AK, mało znanej, bo zajmującej się z natury rzeczy niezbyt "reklamowanym" szkoleniem dywersyjnym żołnierzy AK. Wspomnienia te nie były nigdzie publikowane. Przygotowaliśmy je, wspólnie z bratem, w formie nadającej się do publikacji bez większych zabiegów redakcyjnych (tekst w załączeniu wraz z dyskietką). Tekst nie jest zbyt długi, około 1 arkusza drukarskiego. Wydaje się nam, że doskonale mieści się w tematyce organizowanej przez Panią sesji - bardzo skuteczna działalność "Zagajnika" opierała się przede wszystkim właśnie na pełnej poświęcenia pracy kobiet w różnym wieku, nie tylko młodych dziewcząt - choć one przeważały.

Wraz z bratem mamy nadzieję, że może udałoby się umieścić tekst Mamy w jakimś tomie pokonferencyjnych materiałów. Niewątpliwie, przy Pani życzliwej pomocy, jest to jedyna sposobność uchronienia od zupełnego zapomnienia okupacyjnej, dwuletniej działalności i naszej Mamy i jej koleżanek z "Zagajnika".

Bardzo bylibyśmy wdzięczni za Pani zainteresowanie i odpowiedź co do możliwości wydrukowania tekstu Mamy w materiałach konferencji. Zdajemy sobie sprawę, że nie jest to sucha naukowa relacja z pracy jednej z agend KG AK, ale ta wspomnieniowa forma łączy historyczne fakty z okruciami codziennego okupacyjnego życia. Nie ma zbyt dużo takich publikacji, a przecież każda i każdy z Was, idących bohatersko przez ten czas próby, musiał odwagę i poświęcenie wkomponować w bieżącą codzienność.

Z wyrazami szacunku

Andrzej Żelaźniewicz

P.S. Jakikolwiek poprawki, czy ewentualną redakcyjną "obróbkę" tekstu bierzemy na siebie wg Pani wskazań. Jesteśmy z bratem do dyspozycji.

Pracownik Państwowy

(234) 2

Jorun 18 09 1996

Szanowny Panie,

Dziękuję za pitome wspomnienie a „Zapamięta”. Mógł, że mogą być te wszystkie, że zostały wydrukowane w materiałach, którymi, które wyjdą w 1997 r.

Dziękuję bardzo za Akowca. Mam Panie to było w 2000 roku na Mokotowie w tym samym miejscu. Czasy Kowalskiego.

Mama Hossa była ^{moją} kochaną od mnie „ogrodnicą”. Kiedy przybyłam na ten „ogrodniczy” do celu chyba 35 - to było na Wielkanoc 1952 r., właśnie był to mój rok, ten „ogrodniczy” w Wielkanoc i przystawiał mi, ażeby przybyła, zmaltrutowana, kenijska z kądłami z „wypisami”. Przywiata, niedzielnym wieczorem. Byłyśmy chyba kilka miesięcy razem - wiem o dziejach Hanny oje.

W piśmie pisał: ptk. Kowalskiego odwrócić. Aż przed śmiercią, kiedy tworzyliśmy „Stowarzyszenie Zdobyci PTK”, kenijskim, Świat. Zw. Zdob. PTK.

Przepraszam za niepełną relację - proszę uzupełnić o Matce (z wspomnieniem o Ojcu); załatwiam w naszym Archiwum, 477. Świat, kenijski, ten.

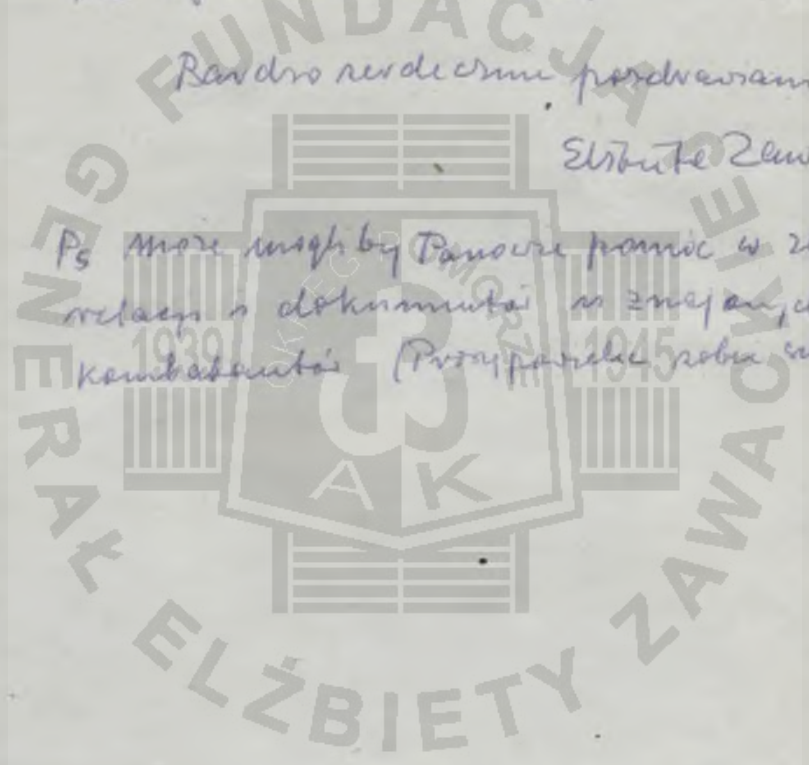
ostrog dla Halny Czerwinskiy (zam Zelai-
mierz

Przyje zaproszenie na Serp-tyard. Byc moze
nada sy zmiesic krotkie wystapienie nt
"kwaterny" gospodni lokalnoust, oparte
na informacjach Kattla

Rozdroz rozdecznie przedwiazam

Elzbieta Zlewacka, Zo

Ps more usqz by Panowu pomoc w zbieraniu
relacji o dokumentach w zwiqzku, de wodnie
kambakantais (Przyprawienie robia sekret)



30. 8. 1986

4

Wielce Szanowne Pani,

Bardzo dziękuję za list i obietnicę
wydrukowania wspomnień mojej Mamy
w materiałach sesji organizowanej przez
Panią. Ciężko mi, że ten tekst nie
został byłby - dłużej. Byłoby ude-
myśleniem, gdyby udało się już nie
zwrócić uwagi jakichś konkretnych ustnie wyrażenie
w mojej sesji na podstawie Maminy
materiałów.

Nie wiedziałam, że Pani też "usiedła"
z pomocą J. Czaykowskiego.

W obguenie przemyśle sprządnosie robocze
o służbie Maminy (ze wspomnieniami o Ojcu),
tak jak Pani prawiła. Fotografie pochodzą
z tamtych olbrzymich czasów.

Jeszcze nie przeliczyłam wyprawy walców wosni
i szamanki

Andrzej Zdrojewski

Andrzej Żelaźniewicz
ul. Pułtуска 6 m 1
53-116 Wrocław
tel. 0-71 679382

6 stycznia 1997

234 5
odp 15 I 97
ze mat. do koniczyny
brak spisu
były fragmenty, wspaniałe

Wielce Szanowna Pani Profesor,

Wraz z bratem pozwalamy sobie przestać Pani życzenia zdrowia i wszystkiego najlepszego w roku 1997.

Jednocześnie nawiązujemy do Pani listu z 18 września 1996, obiecującego nam umieszczenie w drukowanych materiałach listopadowej sesji "Kobiety w AK" wspomnień naszej Mamy z pracy w "Zagajniku" - komórki KG AK zajmującej się szkoleniem dywersyjnym żołnierzy AK, której skuteczna działalność opierała się przede wszystkim na pełnej poświęcenia pracy kobiet. Bardzo ucieszyliśmy się z bratem Pani obietnicą i zainteresowaniem w nadziei, że przy Pani życzliwej pomocy uda się uchronić od zupełnego zapomnienia wkład naszej Mamy i jej koleżanek z "Zagajnika" w dzieło walki z okupantem.

Czekaliśmy też zapowiedzianego zawiadomienia o samej sesji. Sądzymy, że na pewno była ona bardzo udana i interesująca. Jesteśmy ciekawi, czy ukazały się już drukowane materiały sesji, a w nich wspomnienia naszej Mamy. Bardzo prosimy o odpowiedź.

Z wyrazami szacunku

Andrzej Żelaźniewicz

J. Czerwinski?

6

Andrzej Żelaźniewicz
ul. Pułtуска 6 m 1
53-116 Wrocław
tel. 0-71 679382

234

2 lutego 1997

Wielce Szanowna Pani Profesor,

Dziękuję bardzo za kartkę Pani i informacje. Zmartwiły nas kłopoty związane z opublikowaniem materiałów ze Zjazdu Kombatantek, w tym wspomnień naszej Mamy. Co do potencjalnych sponsorów to zdecydowanie sugeruję Pani Profesor odpowiednie wystąpienie do Komitetu Badań Naukowych. KBN finansuje **najróżniejsze** wydawnictwa o charakterze naukowym i bez wątpienia może pomóc w wydaniu tego tomu - jest to na pewno najbogatsza polska agenda rządowa, u której należy ubiegać się o pieniądze na jakiegokolwiek cele łączące się z szeroko pojętymi działaniami na polu nauki. Listopadowa sesja miała wszak jednoznacznie naukowy charakter.

Wystąpienie do KBN-u z ramienia czy to Fundacji Archiwum Pomorskiego AK, czy to Instytutu Historii UMK, powinno zawierać właściwie umotywowane uzasadnienie zamiaru opublikowania historycznych materiałów wiążących się z **Sesją Naukową** "Polki w wojnie 1939-1945".

Z wyrazami szacunku

Andrzej Żelaźniewicz

12.8.1997⁷

Wielce szanowna Pani Profesor,

Obymyśmy od Pani Profesor wiedzieli,
że publikacja tekstów urocz. Mamy nie
będzie pełną sprawą, rozglądając się
mgladzi na jej nie inuymi uwikłania-
mi. Udało się nam zainteresować
kimi wspomnień i nie mi p. Jenezo

Jedyną, którą zdecydował się na
druk 1939 o pracy 1945 "Zagajnik"
w "Cobici". Tekst ten ukazał
się w nr. 120 "Zeszytu Histo-
rycznego" Instytutu Literackiego w
Paryżu.

Dzięki serdecznie dziękujemy za
długi wysilenie tych wspomnień
w materiałach organizowanej przez
Panią sesji.

odpisalam
Kortles 280897
EZ

Zawsz uśmiechnięty serce
Andrzej Żelaziewicz
ul. Piłsudskiego 6, Wrocław

J. Czerwinka

8

Wpłynęło dnia 16.9.97

Ldz. 1347/urzk/97

Andrzej Żelaźniewicz
ul. Pułtуска 6
53-116 Wrocław
tel. 0-71 679382

10.9.1997

Wielce Szanowna Pani Profesor,

W załączeniu przesyłam egzemplarz "Zeszytów historycznych" ze wspomnieniami naszej Mamy z pracy w "Zagajniku". Dołączam też kopię biografii i relacji o wojskowej służbie Mamy, w takim samym brzmieniu, w jakim posłałem ją Pani w końcu września zeszłego roku. Żadnych dokumentów z wojennych czasów nie mamy - chyba wszystko zniknęło w czasie aresztowania.

Niestety nie znam już żadnego żyjącego towarzysza wojennej służby Mamy (poza panią Rutą Czaplińską, dobrze znaną Pani Profesor, z którą Mama siedziała w więzieniu, ale już naturalnie po wojnie).

Dom nasz jest tak we Wrocławiu położony, że lipcowa powódź nam osobiście nie wyrządziła żadnej szkody. Gorzej wypadł mój instytut, gdzie zostały zalane piwnice wraz ze znajdującymi się tam urządzeniami do cięcia skał oraz kolekcją prób skalnych. Trudno się jednak uskarżać, bo dużo ludzi poniosło znacznie większe straty.

Z wyrazami szacunku

Andrzej Żelaźniewicz

odp z podpisem

15 IX 97 EŻ

i

T. 492/WSK

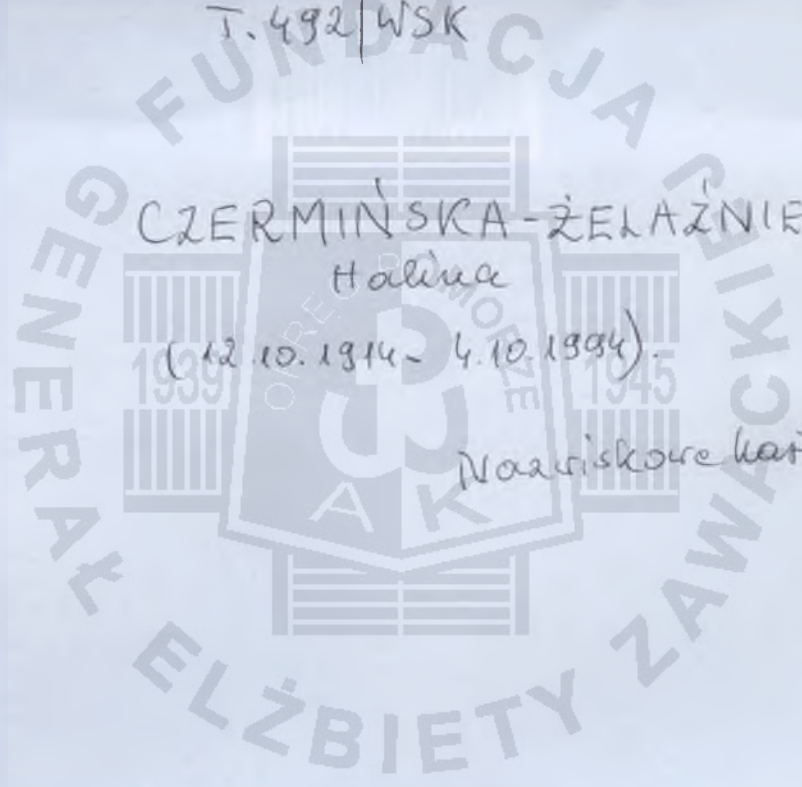
AK
Warszawa

CZERMIŃSKA-ŻELAZNIKOWICZ
Halina

(12.10.1914 - 4.10.1994)

Naawiskore karty inf

1



J. 492
++
Zelazniwiczowa Halina
Fordonianka (int Czaplinska)

AK
4-42

patna
1939
OKRĘG PO
AK
1945
Wspomnienie: Lubka z "Lagajnika"

AK

KG

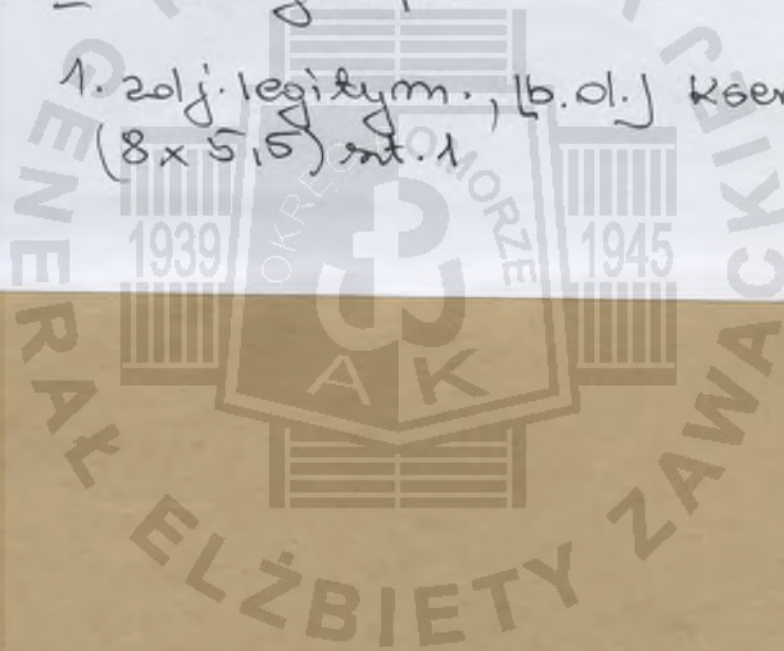
T. 492/IVSK

CZERMIŃSKA Halina

Zam. Zelażkiewicz
ps. "Urszula"

VI. Fotografie

1. 201 j. legitym., lb. d. j. Kseno,
(8 x 5,5) szt. 1



1. USK
Jerzy osobowe

2. ksero

3. T.482/USK

4.

5. CZERMINSKA
Halina

zam. Żelazniewice
ps. "Ursula"

6. N.N.

7.

8. uwagi opis fotogr. ksero

Halina Żelazniewice
z d. Czerminiska
"Ursula"



Z. Świt. 2010r. oprac. arch.





CZERMÍŃSKA - ŹELAZŃIEWICZ

Malina

ZESKANCWANE

